

XVII
KONKURS
LITERACKI
2010



„Muszę przyznać,
że amatorstwa coraz
mniej, a dojrzałość
w coraz większej cenie.
[...] Tym razem było
co czytać i wiele
z fragmentów, nie
tylko nagrodzonych
prac, ocierało się
o tak rozumianą
doskonałość”.

[ze wstępu]



XVII • KRAJOBRAZY SŁOWA • 2010

KRAJOBRAZY
SŁOWA



POEZJA I PROZA
LAUREATÓW
KONKURSU LITERACKIEGO

KRAJOBRAZY SŁOWA

XVII Konkurs Literacki, Kędzierzyn-Koźle 2010

KRAJOBRAZY SŁOWA

Poezja i proza laureatów
konkursu literackiego

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
URZĄD MIASTA W KĘDZIERZYNIE-KOŹLU
Kędzierzyn-Koźle 2010

Serdecznie dziękujemy naszym darczyńcom za wierność,
życzliwość i finansowe wsparcie konkursu:

- **Miejskie Wodociągi i Kanalizacja w Kędzierzynie-Koźlu Sp. z o.o.**
 - **Południowy Koncern Energetyczny S.A.**
- **Elektrownia Blachownia w Kędzierzynie-Koźlu**
- **Urząd Marszałkowski Województwa Opolskiego**
- **Wielobranżowy Zakład Elektryczno-Budowlany „ELBOR”
w Kędzierzynie-Koźlu**

Projekt okładki
Leszek Ołdak

Opracowanie redakcyjne
Agnieszka Jakutajć-Zalewska

Korekta
Agnieszka Jakutajć-Zalewska

OPOLE 2010

ISBN 978-83-928693-4-4
978-83-62105-25-0



STUDIA BRAKU, WERSJE NADMIARU

Jak zawsze o coś bogatszy. Mówię o czytelniku sięgającym po kolejny tekst. Oby ten głód nigdy nas nie opuszczał. Głód, ciekawość, otwartość na drugiego człowieka i jego komunikaty o świecie. Jego wrażliwość, spostrzegawczość, pomysłowość. Jak zawsze o coś bogatszy jest juror kędzierzyńsko-kozielskiego konkursu, jak zawsze dobiera się z radością i satysfakcją do czyjejs prawdy, do czyjegoś języka. Tak było i tym razem.

U jednego z laureatów znalazłem frazę „studia braku” i to mi dało do myślenia na temat tego, jak różne bywają motywy pisania. Niekiedy pisze się z braku, z pustki, z dna, z czegoś, co nam zabrano albo w nas zanegowano. Pisanie restytuuje te zabrane wartości, zahudnia spustoszone pola. Oto coś powstaje na powrót, oto się odradza w piśmie. I tak, na przykład opis miłości – jak w jednym wierszu Różewicza – jest w istocie opisem braku miłości. To stara jak świat droga do lirycznego wyznania, dość znana wersja konfesji. Często zdarza się jednak sytuacja odwrotna. Wiersze pisze się z nadmiaru. Nadmiaru bodźców, uczuć, myśli, dźwięków i obrazów. Wiersz staje się schronieniem dla obalanej nadmiarem duszyczki. Zresztą ten nadmiar bywa różnie interpretowany. Zdarza się, że jako bałagan. Sypiące się słowa wiersza uspokajają rozedrganie i nieład, dyscyplina formy staje się dyscypliną myśli i emocji. A więc przy poczuciu braku pojawia się metafora szczeliny albo dołu, w który się wpadło – wiersz służy wówczas wyciągnięciu na powierzchnię. Zaś przy poczuciu nadmiaru i chaosu pojawia się metafora góry (śmieci...?), z którą trzeba sobie poradzić, z której trzeba zejść w doliny. Niektórzy celebryści schodzenie, trud wędrówca, inni tę drogę pokonują lotem błyskawicy, wykorzystując poetyckie skróty. Obydwa style odzwierciedlają się w zupełnie innych typach lirycznej narracji. Lirycznych narracji u nas dostatek. Z przyjemnością zapoznałem się jako juror kędzierzyńsko-kozielskiego

konkursu z niektórymi z nich. Muszę przyznać, że amatorstwa coraz mniej, a dojrzałość w coraz większej cenie. I jak sądzę, nagrodzone wiersze nie ustępują krajowej czołówce.

W prozie szukałem – okazało się, że pozostali jurorzy również – świadectwa sprawności i świadectwa rozumienia losu. Jedną sprawność towarzyszącą drugiej to mój prywatny ideał literatury. Tym razem było co czytać i wiele z fragmentów, nie tylko nagrodzonych prac, ocierało się o tak rozumianą doskonałość. I tutaj znowu kłaniała się stara historia: prozę pisze się z nadmiaru wspomnień lub braku egzystencjalnego uprawomocnienia. Inaczej mówiąc, szuka się sensu własnego życia przez odniesienia do wyobrażonychżyć cudzych lub wprost do tego, czego doświadczyło się na własnej skórze. Miłym dla jurora zajęciem jest obserwowanie zabiegów autorskich dokonywanych na wybranym typie konfabulacji, obserwowanie sposobów łączenia życiopisania z umiejętnością kreowania intrygującej fabuły i żywych postaci. Nawet tak zwana literatura życia musi być najpierw literaturą koncepcji. Jak zawsze – pasja i rzemiosło, ekspresja i mechanika.

Człowiek po przejściach nie może być bezradny wobec tego, co przeszedł. W Kędzierzynie-Koźlu nie nagradzamy bezradności. Jak zawsze interesuje nas dzielność w różnych sensach tego słowa. Chodzi tu o wolę panowania nad pamięcią i doświadczeniem, a przede wszystkim nad językiem, o niezbyt łatwe poddawanie się jego inercji. O tę siłę jako czytelnicy i jurorzy chcemy być bogatsi.

Karol Maliszewski

KAROLINA PIWOWAR
godło: „E.T.”

Nagroda Prezydenta Miasta
Kędzierzyna-Koźła



KAROLINA PIWOWAR – urodziła się w 1982 roku, psycholog. Laureatka Nagrody Marszałka Województwa Opolskiego w konkursie „Krajobrazy Słowa” w 2008 roku. Dwukrotnie wyróżniona Przepustką Literacką „Zwierciadła” w konkursach „Dzień po Dniu”.

SIŁA ODŚRODKOWA

Cisza, która nie pozostawia miejsca na żaden ruch, nawet na napętnienie powietrzem klatki piersiowej. Pierwotny bezruch i bezdźwięk, z którego może powstać wszystko inne. Bezkształt możliwości, senna *prima materia* na odwrocie powieki. Negatyw przestrzeni, w którym zmaterializowany dźwięk roztopia się i ginie niezauważony, zanim przekroczy próg słyszalności.

Piórko uwolnione z poduszki zaraz wyląduje na dywanie. Zanim sięgnie podłogi, rozwinie postrzępione czułki, zboczy z trasy w bok, choć nikt nie śmie dmuchnąć. Piórko jest czułe na każdą nieszczelność i na byle poruszenie w zamkniętej przestrzeni domu. Pomiedzy parterem i piętrem istnieją wiry, wcale nie bezszelestne, a dudniące głucho, gdy tylko ktoś zmieni miejsce albo pozycję. Wietrzenie parteru to prawdziwa nawałnica tu, na górze, gdy prąd powietrza przenika sufit, podłogę, dociera do uszu, nosa i do oczu przez zamknięte powieki cienkie jak przemoknięta bibuła. Szum wdziera się każdym możliwym kanałem, prowokując odruch zaciśniętej piąstki. Cienkie paznokcie trą przez chwilę o świeżą skórę wnętrza dłoni. Sinawe powieki marszczą się jak u ślepego szczenięcia. Wokół zaciska się szczelna kapsuła ciszy, próżni nieodwzajemnionego oddechu, samotnego kwilenia. Błede przedramię to drżąca pod ciężarem młoda łodyga.

O dno wanny tłuką uparcie krople. Wanna – odległość równa dwóm ścianom i trzem pokojom. Zniekształcenie spowodowane fakturą ścian i gipsowym wkładem, wreszcie warstwą gładkiej glazury. Dźwięk, zamiast wytłumiony, dociera jak z membrany. Pulsująca fala wprawia w ruch cienką jak pęcherz błonę. Piąstka zaciska się mocniej, wygląda jak załazek albo bezkształtny zarodek. Palce nieśmiało zaciskają się ku środkowi, aż bieleją miękkie jeszcze kostki. Na początku wszystkie jednocześnie, potem każda z osobna. Odruch bezwarunkowy ustępuje miejsca śladowej, jeszcze znikomej koordynacji.

Krople rozbijają się o dno wanny z regularnością metronomu albo dziecięcego oddechu. Pod powiekami zaczyna pulsować jasnoróżowe życie, nozdrza rozchylają się jak pierwsze płatki kwiatu. Kroki na górę, sapanie pod ugięciem pleców, drzwi do łazienki, zaciśnięcie kurka, ostatnie dwie krople rozbryzgują się jak tłuczony kryształ. Skrzypnięcie drzwi. I znowu cisza.

ONA BEA

Tykanie z wnętrza salonu. Papa w fotelu zagrzebany pod gazetami, na stoliku oparty o popielniczkę tli się papieros. Niedomknięte oczy zdradzają ciężki dzień. Zasłony opierają się o parapet, na którym ktoś zostawił kilka przypadkowych książek. Dzień papy ma się prawie ku końcowi. Kiedy drobna blada dłoń ociera się o bezwładny nadgarstek, podnosi się zmarszczona powieka papy, ciężąca uparcie ku drzemce. Jedno oko patrzy pytająco, co tym razem. Wątle palce zaciskają się na przedramieniu papy.

– Osiemdziesiąta druga – przypomina sobie o papierosie i zanim podniesie się z fotela, jeszcze naprędce się zaciąga. Mała dłoń oczekuje. Oparcie jest ciepłe i wgniecione tam, gdzie papa oparł głowę i gdzie zaraz wróci.

Nastawia płytę i zapomina o całej sprawie. Może być osiemdziesiąta druga, paryska kompozycja Haydna z niskim C jak pomrukiem niedźwiedzia.

– *L'ours* znaczy niedźwiedź – mówi powoli jakby stał przed tablicą – C dur brzmi jak niedźwiedź.

Papieros wraca na miejsce. Papa też. Kurtyna rozsuwa się i rozpoczyna się taniec smyczków, którym wtórują flety. Wesoła biesiada na leśnej polanie, nad którą w rześkim powietrzu unoszą się motyle.

– Nie ma niedźwiedzia, papo.

Powieka unosi się wraz z wolno wydychanym powietrzem. Promień zachodzącego słońca przebija się przez zasłonę i dopada zmrużone oko.

– Musi tam być, przecież słyszę. Jak go słyszę, to musi tam być.

Rzeczywiście, ale to tylko pochrapujący, śpiący niedźwiedź, obojętny na zabawy na rozświetlonej polanie. Mruczy, bo słońce grzeje jego grzbiet. Dzień jest taki piękny. Wystarczy przemknąć obok, a może się zbudzić i już nie będzie tak wesoło. Rozgoni całe rozbawione towa-

rzystwo. A może to dlatego tak dobrze się bawia...? Dolne C. Musi być pomruk, żeby trwała zabawa.

ON JERZY

Zapadł głębiej w fotel, skąd nikt go przed wieczornymi wiadomościami nie wyciągnie, żadna domowa bzdura, z którą dadzą sobie radę bez niego. Drobne utrapienia codzienności; dla jednych treść całego życia, dla innych zagrażająca i pochłaniająca wszystko pustynia, wciskająca się natrętnie w umysł. Trzeba ciągle walczyć o wolność myśli, swobodę tworzenia. Jeden moment zawahania i braku czujności spowoduje psychiczną śmierć, podstępnie powolną, dziejącą się każdego dnia, kiedy ziarno po ziarnku zasypuje człowieka wewnętrzna pustynia. Może to się stać na przykład przy obiedzie, kiedy się rozmawia o byle czym, żeby nie słyszeć bulgotania w żołądkach ani skrzypienia mięsa rozciaranego zębami. Wystarczy chwila nieuwagi, popuszczenie mieszczańskiego pasa, bezwolne podążenie za pierwotną ulgą fizycznego nasycenia i słodkiej obietnicy doczesnego komfortu, by zatracić się w nicości.

Słońce, zmierzające ku zachodowi przestało wreszcie napastliwie wdzierać się przez zasłony, dojrzałe promienie traciły na ostrości i zalewały pokój spokojnym, błogim ciepłem. Muzyka dawno ucichła, choć wydawało się, że jeszcze drga w spóźnionym, ale wciąż rozprzestrzeniających się niewidzialnych, choć fizycznie wyczuwalnych falach.

Co może obiecywać takie blade, mizernie ukształtowane ciało? Duża głowa, mały nos, rozchybotane nogi i nieobecne oczy, które raczej nie zapowiadały wielkiego potencjału. Takie oczy mogły nawet wskazywać pewien niedorozwój. Niby przenikliwe, a jakieś puste, tępo wpatrzone w siebie tylko wiadome cienie. Bał się tego spojrzenia, więc zwykle mówił do córki mimochodem, główny strumień świadomości kierując na rubrykę recenzji filmowych w codziennej gazecie lub na wieczorne wiadomości. Unikał wtedy fali złości i rozczarowania, na jaką by się naraził, gdyby spojrzał na wczepione w jego rękaw dziecko. A tak – wiecznie zajęty umysł rejestrował tylko śladowe poruszenie, po którym przyjemniej powraca się do pierwotnego stanu. Wkrótce krótki i bolesny jak celne cięcie ruch strząsnął miękką dłoń z jego przedramienia i ona nie powracała tam nigdy tego samego dnia. Wracała następnego i zawsze była jak intruz podczas zasłużonego odpoczynku. Kątem oka widział, kiedy nadchodzi, czając się za plecami,

za ciężkim ramieniem, by wreszcie wypełznąć w jego przestrzeń. Dłoń córki była zawsze zimna i to go przerażało.

Pamiętał swoje dłonie i dłonie kolegów, latem umorusane nadrzeczną gliną. Palce nabrzmiały od zaciętych chłopięcych walk, od siłowania się, od obejmowania gałęzi owocowych drzew, po których przyjemnie było się wspinać. Potłuczone kolana, posiniaczone goleń, białe plamy startej skóry łokci. Osłabione po wspinaczce nadgarstki. Różowe policzki, w których krążyła ciepła krew. Bystre oczy nad rozciągniętymi w uśmiechu spieczonymi wargami, niebieskie, tuż pod przydługą złocistą grzywką. Kto by latem dbał o takie szczegóły jak grzywka, kiedy na każdym kroku czekała przygoda, rozkosz dziewiczych tras przez grząskie łąki w poszukiwaniu ptasich gniazd i pałek tataraku. Większa część roku w domu w mieście była już znacznie mniej ekscytująca, ale o tym wołał teraz nie myśleć. Tamte wspomnienia czaiły się w dźwiękach.

Pamięć dźwięków była bezlitosna. Bodziec uruchamiał sygnał w jego głowie na zasadzie odruchu bezwarunkowego, którego nie umiał wykorzystać. Wtedy skierowanie uwagi na coś innego skazane było na sromotne niepowodzenie. Zaczynało się od niewinnego skrzypnięcia krzesła albo zamykanej szafy; jęku, którego nigdy wcześniej tam nie było. Przedmioty pracują, a ich struktura, uzależniona od wilgotności, temperatury i stopnia zużycia, zmienia się każdego dnia. Niewinne krzesło nagle staje się źródłem hałasu, którego on nie może wytrzymać, za nic nie chce tego słyszeć, ale jest już za późno.

Widzi matkę kołyszącą się na krześle, kiedy myślała, że jest absolutnie sama, jak uczennica, choć ten ruch nie miał nic ze szkolnej bez troski. To raczej uporczywy przymus, tak kurczowo trzymała się wtedy parapetu, a jej twarz cała była ściśnięta, jakby zapadnięta do wewnątrz, nieobecna, poddana hipnotycznemu rytmowi. Niespodziewana bliskość syna wytrącała ją z tej czynności bezpowrotnie, świadomość szybko wstępowała w jasne oczy, tylne nogi stawiały na miejscu, a ona opierała łokcie o parapet, wracając do obserwacji fragmentu chodnika widocznego przez kuchenne okno. On jednak przez resztę dnia słyszał skrzypienie źle skreconego krzesła i miarowe uderzenia nóg o podłogę i wtedy zwykle miał kłopoty z zaśnięciem. Choć w domu było całkiem cicho, on wciąż słyszał walenie o podłogę, jakby tuż obok, tuż za plecami.

W ten sposób dźwięk nigdy nie przemija. Wszystko inne – tak, dźwięk – nie. Poszczególne tony są jak atomy. Na pewnym poziomie organizacji pojawia się różnorodność, jednak u podstaw wszystkiego zawsze jest on – atom, jak pojedynczy dźwięk. Czasem zastanawiał się, czy inni ludzie słyszą tak samo.

Ścieżka pamięci jest konfiguracją dźwięków. Niczym więcej. To bzdura, że jest jakaś pamięć obrazowa, węchowa, co za nonsens. Wszystko sprowadza się do dźwięku, drgania fali, wibracji, która drąży mózg jak solidnie wymierzony cios.

Czy pamięć można odziedziczyć jak mądrość gatunkową? Tak jak przejmuję się bezwiednie repertuar adaptacyjnych zachowań w imię przedłużenia gatunku? Czy to możliwe, żeby Bea była wyposażona w taką samą wrażliwość jak on? Krew z krwi i ciało z ciała. Jakaś jego część musiała uaktywnić się w ciele Bei. Może to dopiero pewien załączek możliwości, bezkształtny i galaretowaty polip, a może już kielkujący korzonek...? I gdzie to się znajduje, no gdzie? Do diabła z całą historią filozofii. Najlepszą odpowiedzią nie jest bodajże kartezjańska szyszynka, ale czy ktoś z nich odpowiedział lepiej? Bezradność, bezradność. Nawet wobec własnych wspomnień jest się jak karzeł, a co dopiero wobec wszechświata, jakim jest człowiek – myślał zawsze, gdy z rozłożoną na brzuchu gazetą wypalał ostatniego papierosa.

ONA BEA

Pewnego dnia telewizja zawitała do ośrodka rehabilitacyjnego dla dzieci i młodzieży gdzieś za miastem, w przyjemnym miejscu pod lasem. Kamera zarejestrowała najpierw całe otoczenie, czyli płytki staw porośnięty lilią i młody lasek oraz gładki trawnik ścielący się aż pod samą podmurówkę. Na zewnętrznych parapetach ustawiono donice z czymś kolorowym, ciekawe czy na przyjazd telewizji. Kamera wślizguje się do środka, przez chwilę obraz zanika, co potęguje realizm reportażu, pojawia się za chwilę lekko przyciemniony, a kiedy stabilizuje się ostrość, widać uśmiechniętą młodą wolontariuszkę w dżinsach i długiej koszulce z logo fundacji. Na drugim planie wózki inwalidzkie, wyciągi ortopedyczne i chodziki w osobliwym porządku, jak na wystawie. Kamera podąża za różową twarzą dziewczyny, w tle jak taśma przesuwają się biel ściany korytarza. Wolontariuszka odpowiada energicznie na pytania, zerkając co jakiś czas w kamerę.

Oglądają mimochodem, on w fotelu, ona pod jego nogami. Wszędzie jest cicho. Widzą każdy grymas i słyszą każde zajknięcie dziewczyny. W salonie tyka zegar i powietrze szarzeje od dymu.

Kiedy dziewczyna otwiera drzwi, kamera odsuwa się, by objąć widok jeszcze z korytarza. Na tle okna obrócony tyłem siedzi chłopiec na wózku. Dziewczyna wydobywa ciepło jego imię, „Bjorn, Bjorn”, a jego ciemne włosy rozgrzane słońcem ani drgną, aż znowu nie wyszepta: „Bjorn”. Wtedy skurczona sylwetka porusza się jak wyrwana ze snu, dziewczyna idzie powoli w jego stronę i chłopak siedzi już z twarzą do niej i do kamery. Uprzedziła go, że będzie telewizja, Bjorn na to czekał, cieszył się, pozwolił się sfilmować od pasa w górę, niżej niewiele jest, ale on chce w telewizji wyglądać jakby był cały. Bjorn ma twarz anioła i przejrzyste oczy, mówi cicho i nie gestykuluje ani trochę.

– Po prostu wyrażam swoje myśli, a ciało nic do nich nie ma – mówi Bjorn – nie jestem swoim ciałem. Chcę wyrażać siebie, a mogę to czytać, nawet gdy od pasa w dół nie istnieję. Nie jestem swoim ciałem, nie jestem swoim ciałem – uśmiecha się młody Bjorn.

Dziewczyna podaje mu skrzypce i usuwa się z kadru, pewnie stoją teraz razem – ona i kamerzysta jak dwuosobowa widownia. Bjorn podrzuca instrument, wsuwa go pod brodę i zaczyna grać. Szybko i bardzo sprawnie, bez emocji na twarzy, zupełnie bez emocji. Potem znowu twarz dziewczyny; jest wzruszona i nie próbuje tego ukryć, patrzy na Bjorna, który jeszcze tuli do piersi skrzypce, pozwala mu na to, jak wierna towarzyszka, znająca każde jego przyzwyczajenie. Jedna łała toczy się po jej brodzie, gotowa, by runąć na koszulkę. Mocne zakończenie, całkiem dobry reportaż.

ONA MARIA

Gruntowne wietrzenie parteru powinno mieć miejsce każdego dnia. Tylko wtedy uchroni się sofę i pufy przed dymem papierosowym. Pomimo regularności tego zabiegu dym jest wyczuwalny w każdym poruszeniu ciężkich zasłon. Firany, podobnie jak ściany i sufit tak szybko szarzeją.

Parter to męskie królestwo w odcieniu butelkowej zieleni, która jest barwą polowań i sal bilardowych, mętnych od dymu i dudniących męskimi głosami. Baśniowe wyobrażenie o męskości i jej atrybutach wysnuła na podstawie młodzieńczych poszukiwań literackich i filmo-

wych, a życie przyniosło jej, zgodnie z życzeniem, prawie dokładne potwierdzenie wcześniejszych założeń. Męski świat był zamknięty za drzwiami i niedostępny, a przez to bardziej pociągający niż cokolwiek innego, co знаła.

Kiedy jako młoda dziewczyna paliła papierosa, siedząc na brzegu fontanny, żeby czuć szybkie odpryski wody na rozgrzanych plecach, czekała tylko, żeby któryś kolega z wyższego roku zamknął ją w uścisku zaborczej miłości bez możliwości nabrania powietrza ani wydania krzyku. Miała w nosie feministyczną zadymę i ideologię wolności seksualnej, marząc o totalnym zawłaszczeniu. Bóg ojciec wdrukował przecież w każdą kobietę potrzebę przynależności. To był sekret Marii, który przebiegle ukrywała, wdając się w beczelne dyskusje ze swoimi profesorami i włócząc się po kobiecych wieczorkach, gdzie więcej się piło niż rozmawiało.

Jerzy pojawiał się i znikał, co utwierdziło Marię w przekonaniu, że jest mężczyzną o jakiego zawsze jej chodziło. Kiedy akurat był, przytłaczał ją bez reszty, wypełniając jej chłonny umysł opowieściami ze świata, gdzie zabawa trwała do rana, a piwo lało się strumieniami. Nigdy jednak nie pozwolił jej w tym uczestniczyć.

Pozostawała więc z wiecznym niespełnieniem i w poczuciu krzywdy. Szamotała się ze sobą, ilekroć nie dostała tego, na co czekała, ilekroć zamykała za nim drzwi, wydrażona i zużyta. Trwała tak, bo czasem, kiedy spał obok z nosem poniżej jej ust, naznaczonym widocznymi tylko z bliska piegami, przeżywała chwile szczęścia i oszołomienia. Mogła przez cały tydzień podstępnie rozważać sposób zerwania, najlepiej z zaskoczenia i w atmosferze podjętej na chłodno decyzji, by pewnego poranka obudzić się przy nim błoga i miękka jak ciepły воск. Schować kolce, a w zamian rozchylić kwiecie najdelikatniejszego uczucia. Wtedy wydawał jej się najpiękniejszy na świecie, złocisty w świeżym, mocnym świetle. Mogła wbijać ostrze krytyki w każdego mężczyznę poza Jerzym, przy którym wpadała w zachwyt nad każdym przejawem jego osobowości – wielowarstwowej i słodko poplątanej.

Tamtego popołudnia kończył jej się szczytowy czas, ostatni dzień według podręczników, a biorąc pod uwagę hormonalne rozchwianie i twardą rzeczywistość, to jakakolwiek szansa już wtedy musiała być historią. Czuła miękkie ciepło w środku od stóp po biodra. Głowę miała jeszcze chłodną i mądrą, ale wiedziała, że jeśli on zechce, to

odda mu się choćby na chłodnym kamiennym parapecie. Ale wtedy poszedł do domu wcześniej niż zwykle zostawiając ją samą. Następnego dnia wystarczyło pięć minut. Bez ceremonii otwarcia, zdawało jej się, że to jakaś „przedsionkowa” miłość, jak przy drodze szybkiego ruchu. *Last minute* rozrodczych możliwości Marii w księżycowym cyklu miesiąca kwietnia. Współpraca fizjologii i miłości. Nierozzerwalne współistnienie. Nie ma chyba wpadek bez miłości, myślała wtedy Maria. To niemożliwe. Popłynęła z nurtem rzeki, nie zastanawiając się dokąd poniesie. Była ufna jak dziecko i przebiegła jak lis. Poczula, jakby uwięziła w szczelnym splocie dłoni esencję tego wszystkiego, czym był Jerzy. Jakby ocaliła najwspanialszą jego część, nadając jej ponadczasową trwałość.

ON JERZY

Związek z kobietą to ścieranie się płyt tektonicznych. Wzajemne poniewieranie się i jednocześnie tkwienie w silnym hermetycznym zakleszczeniu. Jasnozielone, pączkujące istnienie wewnątrz Marii pojawiło się jako skutek uboczny próżności i innych słabości charakteru. Istnienie jak błąd liść na początku drogi, który nie oparłby się nawet nikłemu wiatrowi, wisiał opleciony jeszcze znikomymi gałązkami naczyń włosowatych, w ciszy i wytłumieniu brzucha Marii. Niespodziewany i niesłuszny wyrok. Chłód wynikający w krwiobieg paraliżował go jak bezbronnego owada. Pragnienie ucieczki i niemal samobójcza rezygnacja z niej toczyły w nim wyrównaną walkę. Nie kocha Marii, choć nie była mu całkiem obojętna. Miał nadzieję, że każdy kolejny dzień przyniesie radosne rozwiązanie, jakiekolwiek, pozwalające na powrót do wcześniejszego stanu. Ale z każdą chwilą nowe istnienie mocniej zakorzeniło się w Marii, wyciągając po niego macki przytłaczającego zobowiązania.

Nadal chadzał na koncerty, co rusz z inną towarzyszką z akademii. Pracował także nad własnymi kompozycjami, budując dźwiękowy porządek na przekór temu, co przerażliwe grzmiało wewnątrz. Emocje wypuszczały go na pole minowe druzgocących skojarzeń i destrukcyjnych melodii. Czuł, że jakaś część jego samego została bezpowrotnie ukradziona i żyła własnym życiem całkiem poza kontrolą. Gniew pęczniał w nim niczym pomarszczone ziarno fasoli gotowe, by wystrzelić żyłastym pędem.

Maria wzbudzała w nim czasem cień miękkiej czułości, jaką czuł dawniej do swojej matki. Kiedyś zaproponował zakup ostryg, które Maria szczególnie wtedy polubiła. Młody sprzedawca o bujnej urodzie Włocha uśmiechnął się do niej nieśmiało. Miał białe gumowce po same kolana. Zauważył, że Marię zainteresowało akwarium ze słoczonymi na dnie homarami. Podbiegł do niej służalczo, po czym na chwilę schował się za akwarium i długimi nożycami wyjął błękitnego homara, podsuwając go zachwyconej Marii blisko do twarzy. Homar ociekał wodą. Próbował rozłożyć skrępowane ciasno szczypce, wygrażał się bezsensownie i chaotycznie walczył z nożycami. Maria patrzyła zachwycona, to na homara, to na głupkowatego sprzedawcę. Jerzy stłumił odruch ucieczki i skurcz obrzydzenia. Sprzedawca zamiast na homara patrzył na Marię, uśmiechając się, a nieświeża woda kapiała na jego gumowce. Wiedział o homarach wszystko. Kochał homary, jak można kochać koty, psy albo pełnokrwiste arabskie konie. Wreszcie homar, uwolniony z uścisku, wrócił w kłbowisko na dnie akwarium. Kiedy Jerzy odwrócił się, Maria stała już przy ladzie z papierową torbą pełną świeżych ostryg. W lewej ręce trzymała limonkę, prawą wyciągnęła ku niemu i wyszli ze sklepu ze splecionymi dłońmi. Jerzy jeszcze długo miał przed oczami homara wijącego się w chłodnym uścisku.

ONA MARIA

Nic bardziej namacalnego i konkretnego niż ciało kobiety. Rano widywała w lustrze ogromne napuchnięte powieki. Okazałe jak królewskie poduchy, różowawe i zaginające się leniwie w dwie grube fałdy przy mruganiu. Nie włożyła na palec żadnego pierścionka, a próbowała wszystkie – od komunijnego do takiego, który nosiła z dużym zapasem, na pograniczu ryzyka. Po pierwszej radości trudno poradzić sobie z niepokojem i koniecznością wyciszenia. Zamiast ciężowej rozkoszy i błogiej refleksji, nie zasypiała inaczej niż przy walącym w klatce żeber sercu. Lęk, czy to miało być właśnie teraz, czy z tym mężczyzną, czy sobie nie uroila, że to dobry moment. Czy biologia nie wywiodła ją na ponure manowce, wydając zwierzęcemu instynktowi, kiedy powinna być królową śniegu z pustą macicą i niedostępnym sercem. Otwarcie to zawsze ryzyko, tym bardziej, gdy jest się kobietą i udostępnia się nie tylko coś tak subtelnego i niewidzialnego jak duszę, ale i ciało.

Jerzy był zakłopotany i nieobecny, chociaż takiego Maria знаła go już wcześniej. Nie rozmawiali ze sobą prawie wcale, pozostawiając sprawy własnemu nieuniknionemu biegowi. Maria potrzebowała go teraz mniej niż kiedykolwiek. Często kładła sobie dłoń na brzuchu w poczuciu pełnej kontroli i panowania nad sytuacją. Mijały wszelkie wątpliwości, a niepokój uchodził z niej jak ból po celnym podaniu znieczulenia. Maria była znowu małą dziewczynką i trzymała kłębek błyszczącego sznurka gotowego do rozwinięcia. Największa rozkosz kryje się w trzymaniu, w swędzeniu dłoni, kiedy głowę wypełnia moc obietnic i wyobrażonych przyjemności, słodkich jak wata cukrowa, będących w zasięgu ręki w nieograniczonych ilościach. Będzie matką, a Jerzy ojcem. Dziecko połączy ich nierozzerwalnymi więzami już na zawsze. Jak mogła wcześniej żyć i nie mieć chronicznej depresji?

Ponieważ każdy dzień był pusty, a poza jakimiś drobnostkami, zwanymi radościami codzienności, nie działo się nic, absolutnie nic ważnego. Ratowała się widocznie złudzeniem satysfakcji ze studiów, rozdmuchując tak zwane sukcesy, by jak najdłużej okupowały niezaśmugane miejsce w polu świadomości. To było jednak wielkie nic.

Falstart. Przedtakt, bez żadnego kompozycyjnego uzasadnienia. Choć będzie źle, każdy powie, że tak lepiej, że właśnie tak miało być. Dłoń, która trzyma za mocno, zakleszczy życie tak, aż wyrwie je z korzeniami, choćby ten uścisk wynikał z miłości. Jednak, jak mówią, na rozpulchnionej ziemi wszystko rośnie lepiej, a ziemia się właśnie rozpulchniła.

ON JERZY

Natura eliminuje niedoskonałość na możliwie najwcześniejszym etapie. Na tym polega jej mądrość i oszczędna, a także skuteczna strategia. Tak myślał, kiedy smutek zgiął go w pół przy szpitalnym łóżku Marii. Smutek przedzierał się powoli przez racjonalny beton, który zastępnął w nim wcześniej. Smutek rozbijał go tak, jak wytrzymały cienki korzeń rozsada mur. Było już jasne, że wątłe istnienie, jeszcze nie zakrzepłe w swej postaci, wypływa w regularnych skurczach ze swego siedliska. Jajo wypadło z gniazda bez szans na przetrwanie. Jerzy nie obejmował tego, co właśnie się działo, a chaos znowu opanował jego myśli. Maria mała z każdym skurczem, wbita w jego pierś i ściskająca kolanami to, co już nie dało się zatrzymać. Czy to był najwcześniejszy etap? Skoro jego część tak chętnie i szybko odnalazła swoje miejsce w Marii, to nie

mógł być przypadek. To nie ma mowy o żadnej niedoskonałości. Maria kwiliła jak szczenię, jednak, choć trudno było to wyjaśnić, zachowała swoją godność i zyskała majestat. Pielęgniarki zostawiły ich w spokoju, pozwalając trwać razem w osobliwym uścisku życia i śmieci.

Wtedy zdawało mu się, że ją pokochał. Kiedy po wielu godzinach surowa natura zrobiła to, co do niej należało, usłyszał czysty, wysoki dźwięk tam, gdzie wcześniej panowały chaos i rozstrojenie. Następnego dnia zauważył, jak błada i świetlista obudziła się Maria i jaka była odmieniona. Powiedziała, że teraz jest znowu wolny, albo coś w tym stylu. Ale on zrozumiał. Czuł, że coś się mimo wszystko narodziło.

ONA MARIA

Poczucie porażki naznaczyło następujące miesiące tak bardzo, że Maria coraz rzadziej wychodziła z domu. Ukarala swoje niesprawne ciało dotkliwą dietą i reżimem wczesnego wstawania, nie dopuszczając ociągania się, marnotrawstwa, ani lenistwa. Skoro prawie nie wychodziła, to uczyniła dom swoim królestwem, panując despotycznie w każdym jego zakamarku, nie pozwalając na najmniejszą fantazję materii. Marię ogarnęło szaleństwo kontroli przewidywalności. Ku jej zdziwieniu, Jerzy znalazł swoje miejsce za kurtyną grubych zasłon i z czasem wydeptał swoje ścieżki w labiryntach ładnie obitych sof i porządnie wypolerowanych mebli. Odpowiadała mu powtarzalność dni i ustalony z góry plan każdego miesiąca ich wspólnego życia. Maria niezwykle sprawnie organizowała życiowo konieczną część ich egzystencji, doskonale czując się w kuchni, zapewniając kontakty towarzyskie i rodzinne, racjonalnie planując wakacje i wszelkie inne wyjazdy, i robiąc w domu wszystko to, co według Jerzego robiło się samo, mimochodem. Maria była doskonałą towarzyszką Jerzego, bo gdy tylko chciał, znikwała w czeluściach domu, umożliwiając mu pełnię samotności. Oplotła go bezpieczeństwem i owiała ciepłem, jakiego musieli doświadczać wszyscy wielcy twórcy. Ktoś musiał im przecież wymienić wypalone świece, podawać ciepłą strawę, masować napięte karki, dźwigające potężne umysły – myślała Maria, widząc w Jerzym alchemicznego cudotwórcę. Dzięki jej krzątaniu Jerzy miał swoją płodną przestrzeń, tylko swoją własną. Ona sama zaś, odwracając uwagę od bólu niespełnienia, zajęta bez reszty domem i Jerzym – głównym solistą jej życia, powoli wracała do stanu wyjściowego, a jej uczucia zasklepiały się i obkurczały, przygotowując się na nadejście Nowego.

Bea pojawia się wkrótce później, jak oczekiwane zaskoczenie. Jednak tylko muzyka pozwala na obłudę oczekiwanego zaskoczenia, tak mawiał Jerzy. Jego narodziny Bei nie wyrwały z hipnotycznej monotonii – rytmu dnia i nocy, pracy i odpoczynku, twórczego pobudzenia i mechanicznego realizowania koniecznych życiowych czynności. Maria podejrzewała, że narodziny Bei mogły odcisnąć piętno na tym, co Jerzy tworzył. Brak wyobrażenia o jego kompozycjach sprawił, że barwnie wyobrażała sobie, jak w zakamarkach duszy Jerzego powstaje przestrzeń ojcowskiej miłości niewyrażalnej słowami czy gestami. Czuła, że było to uczucie, które jej mąż mógł oddać tylko dźwiękiem – drastycznie demontując istniejące konwencje, docierając do wcześniej nieosiągalnych podcieni istniejących jakimś cudem pomiędzy tonami lub dokonując awangardowych wyborów stylistycznych. Świadomość, że tego nigdy nie zrozumie, dawała jej poczucie bezpieczeństwa, bo trwale chroniła Marię przed rozczarowaniem. Jerzy musiał kochać Beę. Na swój sposób przecież musiał.

ONA MARIA

– Proszę uspić dziecko – powiedziała pielęgniarka i zostawiła ją w małym pomieszczeniu tuż przy gabinecie pani profesor. Długi wywiad dotyczył ewentualnych obciążeń rodzinnych, przebiegu ciąży i dotychczasowego rozwoju Bei. Z poczekalni dochodziły chrząknięcia jak pohukiwanie puszyczka i brzęk przetaczanych korytarzem pustych szpitalnych łóżek. Po wywiadzie zaprowadzono Marię do małego smutnego pokoju, gdzie oprócz kanapy nie było żadnych sprzętów. Tylko ja i ty – myślała, podając jej pierś. Kiedy ssała rytmicznie, kobieta znowu usłyszała osobliwie niezróżnicowany splot sylab, niepokojąco narastający, to znów opadający, dochodzący z poczekalni. Próbowwała wyodrębnić jakieś znajome słowa bądź intonację zdań, bo to, co odbierała, wprawiało ją w niepokój, lecz nie potrafiła skupić się na niczym innym. Dziwne miejsce – myślała. Mała Bea tymczasem spała, wtulona w jej ciepłą pierś.

Ta sama pielęgniarka zaprowadziła ją potem do sali badań. Panował tam gwar; pielęgniarki uwijały się jak w ukropie, z hukiem zamykały się drzwi do pomieszczenia obok, a była to z pewnością sala operacyjna.

– Musi spać przez czterdzieści minut – oznajmiła pielęgniarka – badanie wykonuje się podczas snu.

Kobieta patrzyła, jak przypinają śpiącą Beę. Myślała, że to musi być prawda. Skoro Bea nie reaguje na otaczające ją zewsząd dźwięki, skoro śpi pomimo świstu, brzęczenia i irytującego ją pisku, to znaczy, że wcześniejsza diagnoza jest trafna. Głębokie upośledzenie słuchu. Szerokie drzwi z sali obok rozwarły się i kobieta zobaczyła wtaczające się łóżko, na którym leżał kilkuletni drobny chłopiec. Wyglądał, jakby dopiero co wybudzono go z narkozy. Tuż za nim dreptała kobieta z małym dzwonkiem w dłoni. Wszyscy obecni w sali zamarli, a kobieta zadzwoniła, najpierw nieśmiało, potem całkiem donośnie. Błada rączka chłopca, w zgięciu przekuta wenflonem drgnęła i chłopiec pisnął:

– Mamo, dzwoneczek.

Dzwonek upadł z drażniącym brzękiem na podłogę, kobieta zaczęła płakać.

– Usłyszał, usłyszał – powtarzała.

Mała Bea nawet nie otworzyła oczu. Aparat tymczasem mierzył i rejestrował.

Po obejrzeniu wydruku pani profesor oznajmiła, że dziewczynka ma wspaniały słuch. Jak wytłumaczyć jej brak reakcji na głos matki? Na klaśnięcie? Półroczne dziecko powinno... i tak dalej.

ONA BEA

– Nie można odmówić ci wrażliwości, ale technicznie masz wciąż dużo do zrobienia – słyszała każdego roku. Wrażliwość, słuch, znajomość literatury muzycznej – dość dobre, ale technika ciągle nie nadążała za resztą. Ojciec był pewien, że to przez miganie się od ćwiczeń, ale Bea była faktycznie słabowita i okrutnie atakowana wszystkimi chorobami wieku dziecięcego, a potem sezonowymi wirusami. W czasie cięższej infekcji wiotczały jej mięśnie, odmawiając dźwigania instrumentu. Bea zamykała oczy i wyobrażała sobie każdy ruch, każdy chwyt utworu, nad którym właśnie pracowała. Słyszała, że koszykarze wizualizujący grę w ten sposób, w rzeczywistości uzyskiwali lepsze rezultaty na boisku. Więc ona zaciskała powieki, grając na wyobrażonych skrzypcach, tylko mięśnie i ścięgna przedramienia napinały się i rozluźniały rytmicznie. To była jedna z wielu prób uniknięcia palącej dezaprobaty ojca, której on nigdy nie wypowiedział wprost, ale okazywał swoim upartym milczeniem i ignorancją. Bea nie należała do jego świata, gdzie panowała doskonałość wypracowana systematycznością

i uporem. Była słabowita, uczuciowa, płacziwa i mierna. Spragniona uwagi i czułości jak byle szczeniak, kociak albo pisklę. Bea była przeciętna. Przynajmniej tak się czuła. Może gdyby była chłopcem, albo przynajmniej typem chłopczycy, ojciec dawałby jej więcej uwagi. W jakiejś alternatywnej, równoległej rzeczywistości wyobrażała sobie siebie jako ładnego chłopca ze zmarszczonym, skoncentrowanym czołem i bystrzymi oczami, takimi, jakie ojciec przekazałby na pewno swojemu synowi, gdyby go miał. Jej oczy były duże, w jasnej oprawie o rozdwojonej barwie jak przystało na niezdecydowanego, mało konkretnego romantyka. Nie było w nich bystrej beczelnej iskry, którą tata tak lubił u swoich uczniów. Były uczucia, ale kto ich ma w nadmiarze, raczej daleko nie zajdzie, jak mawiał zawsze tata, zanim ucinął zbędną w jego rozumieniu dyskusję.

ONA MARIA

Miłość z Jerzym była podobnie nieprzewidywalna, jak przewidywalna była cała reszta. Jerzy tygodniami nie dostrzegał jej subtelnych czułości, mających choć na moment oderwać go od pracy, a skupić na jej ciele. Czasem natomiast, gdy Maria zajęta była czymś absolutnie pilnym w kuchni i zapominała o Jerzym, zaszytym zwykle w swoich melodiach, on zjawiał się ze wzrokiem utkwionym w okolicach jej obojczyka, po czym oswobadzał ją i siebie z ubrania i przy jarzeniowym świetle kuchennych szafek czuł się znów jak na randce ze studentką. Maria wówczas radośnie porzucała swoją robotę, korzystając z chwili, gdy Jerzy rozgorączkowany wydobywał skarpety z nogawek spodni, myła ręce i kładła mu je na szerokim karku, patrząc, jak wędruje od jej szczupłych kostek w górę, zatrzymując się na wysokości brzucha. To były krótkie chwile spienionego uczucia, prawdziwe spotkania, głębsze niż tysiące rozmów przy małżeńskim stole. Jerzy opowiadał jej wtedy to, co zapisywał na papierze nutowym i tłumaczył zawilości swojego warsztatu. Maria odbierała go wtedy całą powierzchnią siebie. Zatracała granicę między umysłem i ciałem. Kiedy wspomniła ich pierwsze miłosne spotkania, wydawało jej się, że były jak nędzne początki ucznia, którego niewprawne palce na oślep traktowały napięte struny opornego instrumentu. Wtedy uderzała jej do głowy nowość tego, co wniósł w jej życie Jerzy, a nie ich fizyczny rezonans. Z biegiem czasu zgrali się jak najlepszy duet, dostrajając tak emocje i wrażenia, jak i zmysły. Kiedy

Maria pewnego razu wspomniała mu o tym, powiedział, że ćwiczenia czynią mistrza. A zaraz, potem wrócił do pracy, nie dopinając nawet koszuli, zwinięte skarpety wciskając pospiesznie w kieszenie spodni.

ONA BEA

Stopniowo odkrywała subtelnie snutą perwersję, gdy luźne, spontaniczne tango ustąpiło przemyślanej erotycznej liryce. Potem poczuła dym, pot i moc. Zamykając oczy, miała obraz starca z pomarszczoną twarzą i promieniście zaczerwienionymi spojówkami. Wyczytała w niej historię marzeń i bezsenności, pożądań i porażek, niespełnionych obietnic, bezmyślnych, niepotrzebnych potknięć i fanatycznych przekonań.

To jedyny raz ojciec poszedł z nią na koncert. W snopie światła, na podłodze klubu studenckiego tańczyła para, dla której podobno to był pierwszy i ostatni występ. Tańczyli z rękami przy ciele, stykając się górną częścią ciała, pokazując sobie wzajemnie profile kamiennych twarzy.

Wracali bez słowa, zachowując jeszcze atmosferę koncertu. Czy chodził tak z Marią, z jej matką? Kiedy szli tak ostatni raz? Gdy pączkowała jeszcze nieśmiało w jej brzuchu...? Gdy wrócili do domu, a matka na ich powitanie rozświetliła salon i nakryła do stołu, Bea położyła przed ojcem zapisany papier nutowy. Pomyślał, że to jego zawieruszone w zapomnieniu notatki; rozpoznał atrament i nachylenie lasek przy nutach. Podążył wzrokiem za przedtakt i prześledził hipnotyczną powtarzalność, przedziwne tłoczenie, ocieranie i uwalnianie dźwięku, jak z męczącego snu, i ślizg po tonacjach, na pograniczu hałasu. Nie, to nie jego.

– Bez pulsu, przepływu – zmarszczył czoło. – Bea wymaga gruntownej wiedzy i doświadczenia w klasycznym syntetyzowaniu. To jest droga na skróty bez krzty pokory.

Maria podała herbatę na czujnym bezdechu.

– Chociaż... wielkie rewolucje dokonywały się czasem poprzez małe, niezauważalne dziełka porównywane do dziecięcego kaprysu – zamyślił się nagle. – Czasem taki infantylny żart napęczał w czyjejs wielkiej głowie, by któregoś dnia wystrzelić pędem dojrzałego dzieła. Bea obserwowała, jak papier zwija się w jego wielkiej dłoni niby zeschnięty wielopalczasty liść.

– Dość już.

Bea poczuła się osierocona, jak wtedy, gdy czytał jej przed zaśnięciem. Zawsze było tak samo. Bała się, że ojciec zamknie za sobą drzwi, zanim ona zaśnie. Nigdy nie udawało jej się zasnąć, zanim skończył czytać.

„Imbryk leżał zemdlony na podłodze, wrzątek wyciekał z niego. Spotkał go ciężki cios, ale najsmutniejsze było to, że śmiali się z niego, a nie z niezręcznej dłoni, która upuściła go na ziemię”¹.

– Tato, nie śpię jeszcze.

Zaskrzypiały zamykane drzwi, podłoga i schody. A potem nad małą Beą rozpostarła się przezroczysta cisza.

ON JERZY

Czym starsza była Bea i czym wyraźniej rysowała się jej indywidualność, tym więcej było w nim niepokoju. Czas płynął na jej niekorzyść. Kierunek rozwoju Bei coraz mniej go zadowalał, każdy dzień pozbawiał go nadziei.

Fizyczna rzeczywistość męczyła go bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Codzienne wykonywanie tych samych, powtarzalnych do znudzenia czynności jak golenie się, obmywanie ciała z brudu, dostarczanie mu pokarmu. Psucie się zębów, obserwowanie, jak z roku na rok pokrywają się osadem, odbicie własnej twarzy, z czasem za mdłą szarą mgłą, rozmywanie się rysów, jakby ktoś przecierał kreski naszkicowane niegdyś mocno i wyraźnie tłustą pastelą. Przestrzeń wokół niego ulegała rozkładowi. O ile w młodym wieku siłą namiętności walczył z postępującą dezintegracją, teraz opadł z sił. Chciałby być czystym destylatem myśli, witalną siłą twórczą bez balastu fizyczności.

Panosząca się cielesność Bei sprawiała mu zawód i ból. Dosłowność jej ciała, teraz już bardzo blisko tego, co nazywa się kobiecością, sprawiała, że truchlał, gdy tylko zwracała się do niego z czymkolwiek. Barwa jej głosu, tempo wyrzucanych słów, gdy rozmawiała z Marią, rytm jej kroków – mocnych, realnie osadzonych w teraźniejszości, obezwładniający go śmiech.

Obezwładniający wówczas, gdy składał się na brzmienie, które nosił w sobie jak najdroższe wspomnienie. Bea tryskała śmiechem jak górski dziki strumień, konwulsyjny i nieuregulowany żadnym umocnieniem.

¹ H.Ch. Andersen, *Imbryk*, [w:] tenże, *Baśnie*, tłum. S. Beylin, Poznań 1982.

Całkiem bez kontroli nad skurczami przepony. Dźwięk był jednak czysty i doskonale kaskadowy jak mocny akcent wieńczący dzieło.

Matka wybuchła tak kilka razy. W jego chłopięcej pamięci zapisało się to jednak tak wyraźnie, jak pamiętamy wszystkie niecodzienne wydarzenia – występy cyrkowe czy wspaniałe prezenty znalezione pod bożonarodzeniową choinką. Taki był śmiech matki – wybitnie niecodzienny, jak warkocz komety rozpalający niebo raz na wiele lat.

Tamtego dnia Bea spytała o coś, chyba o spacer.

ONA BEA

Tamtego dnia papa na propozycję spaceru odparł to, co zwykle.

– Nie jesteście przecież bezdomni – wypowiedział swoją kwestię, którą Bea tak dobrze знаła. Oszczędność gestów i powściągliwość emocji u ojca Bea postrzegała jako przejaw toczącego się w nim bezustannie procesu twórczego, wymagającego pracy umysłu i totalnej koncentracji dośrodkowej. W takim przekonaniu wytrenowała ją dobrze rozumiejąca to Maria, sama będąca najlepszym dowodem na to, że można pozostać niewidzialnym i jednocześnie dobrze wykonywać swoje codzienne obowiązki. Matka i ojciec w jej oczach stanowili odległe krańce kontinuum reproduktywność–kreatywność. Tak sobie usystematyzowała rodziców.

Bea miewała dni, kiedy, tak jak ojciec, kumulowała całą uwagę na własnym wnętrzu – tym zatrwajającym świecie pełnym zaskakującym czasem groźnych treści. Wtedy płynęła z dźwiękiem i osiągała najgłębsze zrozumienie. Zatracała granicę między sobą a instrumentem. Nie było to bezpieczne, uspokajające doznanie. Raczej niepokojące i dezintegrujące. Ale jakże prawdziwe. Odbierała wówczas czysty, podstawowy puls muzyki, słyszała i czuła jak zwierzę, rejestrowała dźwięki na poziomie ich falowej wibracji w przestrzeni. Wtedy dopadała ją pewność, że muzyka nie opowiada żadnych historii, choć do każdej melodii można ją dopisać. Ludzki umysł biegle spaja wszystko w strukturę, obciążając sztukę logiką przyczynowości, jakbyśmy byli zaprogramowani na sekwencyjność narracji. Akumulacja dźwięku czy przyspieszenie rytmu nie muszą niczego imitować. Są czystą muzyką i prawdziwym tragizmem na poziomie przeżycia.

Po takiej kilkugodzinnej introspekcyjnej sesji Bea opadała z sił. Czuła, jak w przedramieniu rozchodzi się spowalniający ruchy oleisty

bełt. Choć głowa grała dalej, ręka odmawiała posłuszeństwa. Bea opadała na krzesło, zwieszała głowę, walcząc z sennością.

– Nie jestem swoim ciałem, nie jestem swoim ciałem.

ON JERZY

Kiedyś tak się czuł, gdy udawał, że śpi. Matka przetrząsała cały dom, by wymierzyć mu sprawiedliwość po tym, jak przez swoją niezborność zniszczył domowy sprzęt. Kolejno opadały przed nią zasłony, fruwały poduchy, otwierały się z hukiem drzwi. Na jej szaleńczej trasie przewracały się taborety i w przeciągu trzaskały okiennice. Matka szła jak tornado złości, żalu i rozczarowania. Wreszcie był. Między kanapą a lśniącą powierzchnią kaflowego pieca w kolorze butelkowej zieleni. Plecy podnosiły się i opadały w miarowym oddechu niczym niezmałconego snu. Jerzy spał z zaróżowionym policzkiem nad zwinietą w pięść dłońią. Spał, podczas gdy w domu rozgrywał się dramat sądu ostatecznego. Matka pochylała się wtedy nad nim z zamiarem wytrząśnięcia go ze snu i rozliczenia z postępuku. Jednak, widząc go skulonego i śpiącego jak niemowlę, odwracała się i naprawiała niepostrzeżenie zaistniałe szkody.

Czuł się tak, jakby znów udawał, że śpi, unikając odpowiedzialności. Otworzył tylne, ogrodowe drzwi i musnął go gęstniejący, materializujący się wiatr. Otarł się o obleczone późnojesiennymi pajęczynami kikuty sterczące przy ogrodzeniu; wspomnienie ich kwitnienia poczuł jak fizyczny ból i lekko zgarbiony wyszedł na ulicę.

Przeciwdziałanie pustce, walka z wiotczeniem natchnienia, podsycanie wyobraźni, stwarzanie wszechświata na nowo, gdy włącza się świadoma percepcja o poranku. Codzienne tytaniczne prowokowanie wielkiego wybuchu. Wydzieranie pustce każdego kawałka siebie. Walka z chaosem, walka o strukturę.

Skanował uważnie uliczne pole widzenia, zachowując marginesy chodnika. Patrzył na przechodniów, lecz zamiast ruchu, rejestrował zastygłe postaci sfotografowanych aktorów. Szablony ludzi.

Nie wiedział dokąd podąża. Wsłuchiwał się w chrzęst liści zwiniętych w bure kokony, i tak próbował uzyskać odpowiedź.

DOROTA PODSTAWSKA
godło: „parasolka”

I nagroda w kategorii prozy



DOROTA PODSTAWSKA – nauczycielka plastyki, mieszka w Rudzie Śląskiej. Laureatka II nagrody w dziedzinie poezji w konkursie „Kraj-obrazy Słowa” (1998). W ubiegłym roku otrzymała pierwszą nagrodę w dziedzinie prozy w konkursie literackim dla pracowników oświaty „Pomorskie klimaty” w Koszalinie.

PIERŚCIEN

Mój dziadek nie trzymał konia. Mówiło się, że koń to darmozjad. Że nie wypracuje tego, co zeżre, po co koń, skoro są w domu silne zwierzęta, krowy. No i krowy były od wszystkiego. Od mleka, od cieląt, od ciągnięcia niezliczonych wozów z sianem, sнопkami, gnojem. Brało się parę krów, ustawiało z obu stron dyszla, wciskało ich karki w prostokątne jarzmo, zatykało z zewnątrz mocnym patykiem, i już. Dziadek brał w jedną rękę łańcuch dyndający wokół rogów, w drugą kijek leszczynowy i rozpoczynał uroczystą pielgrzymkę w pole. Wóz skrzypiał i kołysał się, najpierw po trawsku porastającym okolice chałupy, wzdłuż plecionego płotu, pod parasolowatą jabłonią, potem, podskakując, zsuwał się na gościniec. Terkotały wesoło koła po kamieniach, krowy oganiały się ogonami od much, świeciło i mrugało słońce jak wirujący, rozpalony pieniążek. Dziadek zgięty wpół, wyschnięty, w białej grubej koszuli ze złością poganiał krowy. Złościł się, bo się spieszył, pośpiech był święty, życie bez pośpiechu było godne pogardy. W świecie dziadków ludzie nigdy nie mieli czasu. „Casu” nie było nawet w niedzielę, dzień świąteczny zaczynał się od gorączkowej bieganiny w poszukiwaniu wyjściowego kabata, od czyszczenia butów, trzaskania drzwiami, pokrzykiwań i docinków. O przełknięciu czegośkolwiek nie było mowy, „śniadało” się dopiero po powrocie, po zaliczeniu trzech kilometrów w stronę kościółka, po zaliczeniu mszy i trzech kilometrów powrotnego deptania gościńca. Potem w pośpiechu robiło się obiad, zjadało i biegło z krowami. W niedzielę można je było popaść wreszcie porządnie, „po brzysku”. Brzysk był stromym trawiastym pasem ponad polną drogą wiodącą za rzekę i w las.

Dziecko we mnie nie potrafi zachować żadnej chronologii. Pachnący film przesuwają się labiryntami synaps, wolno jak wstążeczka puszczona na łagodny wiatr, czasem coś iskrzy i przeskakuje, pali się z sykiem fragment taśmy. Wielokrotnie puszczane sekwencje nabierają

mocy i barw, inne, nie powtarzane, nie świętowane, bledną, nikną, zapadają się w ciemne groby. Już po was, nigdy, nigdy – jak śpiewają gołębie. Nie będzie was nigdy i dla nikogo.

Dziś nie ma niedzieli. Jadę na tym wozie dziadka, wbita pomiędzy drabiny, wóz jest drabiniasty jak w szkolnej lekturze, przewiewny jak suchy szkielecik, przechodzi przez niego podśpiewywanie kur i aromat papierówki.

Leżą przy mnie grabie i widły, pogrzechotują po swojemu, wszystko grzechocze, koła, drabiny, łańcuchy krów, krowy rytmicznie machają ogonami, dziadek wymachuje witką leszczynową, obrał ją pracowicie z liści, ale na końcu, jak zawsze, zostawił parę listków dla elegancji i teraz drgają sobie zielono, kiedy pręt lata w powietrzu jak dyrygencka batuta. Kolebię się na wozie zanurzona w tym widowisku, muzyce, podjeżdżamy bliżej rzeki i dołącza się do nas stukot i szmery przelewanej po kamieniach wody, o proszę, mamy i ptaki, słyhać je z wielozielonych obłoków gęstwy okalającej koryto. Teraz dziadek z irytacją szarpie łańcuch w prawo, pręt leszczynowy tremolo tłucze bębniaste zady krów, takie są ociążałe i tępe, zanim pojmą, że teraz muszą zrobić dosyć gwałtowny zwrot, wbić się w pole, podciągnąć wóz trochę pod górkę, pod szpaler wyczekujących zwózki pięknie wysuszonych snopów.

Nadbiega babcia, wielka i płaska, w sękatej dłoni dzierży kankę z wodą, jej twarz, objęta chustką jak białymi dłońmi, ma wystające, czerwone policzki, żyłki na tych policzkach rozbiegają się promieniscie, migoczą rude piegi, takie same rude plamki nosi babcia w szarych tęczówkach. Pofukują na siebie, dziadek jak zwykle pobożnie nachmurzony, rzuca pod jej adresem kąśliwą pretensję, dopiero teraz leci, ciekawe co też robiła w domu, grzebała się, jak zwykle, ona odburkuje, zaraz robi się z tego żarliwa i gorąca piosenka, przysłuchuję się jednym uchem, piosenka podryguje jak powietrze nad wodospadem przy młynie, nerwowa, gęsta od siarczystych babcinych epitetów, wreszcie dziadek milknie jakby utonął.

Wóz jęczy i kolebie się, dziadek doprowadza zaprzęg pod szereg dostojnych mendli, teraz zsuwam się z wozu, muszę się zająć krowami, przejmuję z rąk dziadka łańcuch i kijek leszczynowy, krowy muszą stać spokojnie kiedy trwa załadunek. Babcia pakuje się na wóz, będzie układała snopy, snopy układa się pedantycznie, wachlarzowa-

to z przodu i tyłu, fura ma przejrzystą strukturę, tak układały mama, a przed mamą babcia, a przed babcią prababcia. Mężczyzna podaje snopy na wóz widłami, z początku jest lekko, nie trzeba wysoko dźwigać, potem coraz ciężiej, sterta snopów rośnie wzwyż, dziadek, którego grzbiet przywykł już do zgięcia, teraz z jękiem otwiera się jak zardzewiały scyzoryk, za każdym podrzutem rąk w górę. Niedługo już tak będzie otwierał się z bólem, za jakiś czas zastygnie w krzyżu na kamień, nawet spał będzie taki zgięty jak szprycha ze zużytego koła.

Krowa widziana z bliska ma długie, czerwone rzęsy, proste i sterzące, rzęsy okalają okrągłe, bardzo wypukłe ciemne oko. Oko nie posiada białka, całe jest brązowe i błyszczące, szkliste, odbijam się błękitnawo w tym oku, kiedy zwierzę podnosi wyżej głowę. Krowy szarpią się, oganiając od much i bąków, pomagam im, płosząc owady leszczynową witką, łańcuchy grają swoją muzykę, obijają się o jarzmo, ciężko oddycha upał, och, żeby tak już czmychnąć w zieloną puszcę porastającą koryto rzeki. Ale nie, jeszcze trzeba odstać swoje, potem dziadkowie pomagają wspiąć się na ogromną stertę na wozie, pojedą jak królowa.

Świat widziany z fury jest oczywiście większy. Smakuje mi przestrzeń i powietrze, dziadek zrobił się mały, widać mu czubki uszu spod wyszmelcowanej czapki, marzę o tym, żeby zobaczył mnie na tej furze ktoś ważny, na przykład dzieciaki ciotki Milki. Miejsce na furze daje moc, można po drodze złapać i zerwać niedostępną na co dzień dębową gałązkę. Mogę dziś zmierzyć się z potęgą drzewa, dla chodzących po ziemi śmiertelników widoczne są tylko sploty konarów i wysoko, wysoko, blade podszewki misternie krojonych liści. Zboże pachnie jak oszalałe, w snopie tkwią rozmaite zielska, każde z nich ze swoim aromatem, biegają niezliczone robaczki, coś kłuje, chrzęści, jestem tak blisko słońca, nie miałam takiego tronu nigdy potem. Potem urodził się mój brat, miłość dziadków rozsypała się na niezliczonych kuzynów, czyjeś dziecko, młodsze ode mnie zajęło miejsce pod oknem w kuchni, najlepsze, z widokiem na ogródek, gościniec i studnię, dobre krzesło z gładkiego, ciepłego drewna.

Ale póki co jestem jedyna, niezwykła i jadę wielką furą pod nieboskłonem. Dziadek wścieka się na krowy, babcia podpira widłami stertę, kiedy wóz turla się z góry i przechyla się na bok, babcia jest silna i żyłasta, jej piegowate, opalone ramię mogłoby podtrzymać cały mój świat, gdyby przyszło mu sturlać się po jakiejś stromiznie. Kiedy

babcia myje się dokładnie w sobotę i odpina zatrzaski koszuli zaskakuje mnie wielką, oślepiającą białością ręki powyżej łokcia i innych miejsc, których nigdy nie ogląda słońce ani obcy człowiek. Białosc jest porcelanowo krucha, nie pasuje do tej szorstkiej i silnej istoty, nagle ogarnia mnie strach, że babcia ma inną stronę, miękką i ciepłą, pozbawioną pancerza, śmiertelną. Babcia bez zasłony bluzki łagodnie, pluska się w ciepłej wodzie, myje włosy, a potem zaczesuje za uszy, będą w niedzielę puszyste, będą się wyrywały spod świątecznej chustki w różę. Bez cienia wdzięku, szorstko będzie je wtykała z powrotem, palcami splekanymi od ziemi.

Moja babcia nie wiedziała, co to jest słoń. Ruszasz się jak słoń – krzyknęłam kiedyś do Zośki od Śliwków, a babcia zaraz zapytała o tego słonia. Słoń? Normalny, z trąbą, z Afryki. Z jakiej to Afryki, zapytała, a ja nagle zrozumiałam, że ona po raz pierwszy w życiu słyszy to słowo. Słowo Afryka, słoń, lew, pustynia. Słowa puste, pustynia bez piasku, próżnia. W jej głowie istniał tylko realny świat dostępny zmysłom, mało ją to wzruszało, nauczyła się doświadczać najbliższej okolicy, ludzi, wiatru, zapachu rzeki, umiała upiec chleb i suszyła grzyby. Trochę umiała czytać i pisać, trochę chodziła do wiejskiej szkoły, pisała fonetycznie, tak jak mówiła, a mówiła gwarą i nie знаła innego mówienia. Nie czytała książki, nie oglądała filmów, nigdy nie chciała mieć telewizora. Widziała to okropieństwo u sąsiadki, coś tam „sko-kało” w pudełku, od czego „łocy się psujom”. I już. Babcia wzgardziła telewizją, nie przeczytała ani jednej książki i przeżyła tylko jedno życie – swoje. Jej wyobraźnia nie została zaludniona, nie zamieszkała w niej Odyseusz, Hamlet ani nawet Królowna Śnieżka i nigdy nie opowiedzieli jej swoich historii. Była czysta jak rzeka, płynęły w tej rzece myśli i obrazy jak lustrzane odbicia obłoków. Znała oczywiście historie biblijne, z kościoła. „Bez Boga ani do proga” powtarzała memento polskich domów, nieświadoma swojej misji, powtarzała co słyszała od matki, babki, prababki. Znała też wszystkie plotki z okolicy, chciwie nasłuchiwała pogwarek, coś tam dołożyła, podała dalej. Plotki były smakowite, dawały dreszcze, do domu wchodził świat. Nie ten obcy i wielki, nie świat medialnych ikon – babcia wpuszczała do domu świat bliski, choć nieoswojony, czasem straszny jak horror – mękę dwudziestopięcioletniej Kaśki, umierającej na raka, Jędrka, co się powiesił w lesie na Wierzkowinie, zagadkową śmierć ciężarnej

zabitej nożem w porzeczkach u Józków. Od tych opowieści cierpiałam gorzej niż przez wszystkie strachy z filmów, odbierały mi sen, po suficie izdebki laziły cienie zmarłych, snuły się po ogródku, postukiwały luźnymi dachówkami, a zza rzeki dochodziły okrzyki strasznych boleści Kaśki. Kiedy wreszcie umarła, babcia zabrała mnie na pogrzeb, wpełnęła w tłum i pracując łokciami przedarła w pobliże otwartej trumny. Kaśka w białej dziewiczej sukni, miała ciemną, jakby spaloną skórę, czarne, suche włosy i wyszczerzone zęby w sinych ustach. Moja pamięć dodaje szczegóły, których przecież nie mogło być, długi biały welon, gałązki mirtu, ślubny bukiet. I ogromne białe trzewiki celujące noskami w niebo. Nie miała chyba kości, była płaska jak szmaciana lalka, sukienka w niezliczonych i daremnych fałdach zapadała się w głąb trumny, baby zawodziły, trumnę zatrzęsnięto, stuknęła o próg domu, powędrowała na barkach braci i ojca najpierw na wóz, potem do żółtej dziury. Dzisiaj po Kaśce nie ma nawet krzyża, zapadł się, szerniały i spróchniały, zarósł zielskiem, splótł z ziemią. Kaśka leży sobie w mojej pamięci jak w kolebce, dobrze jej tu, ma muslinowy welon jak królewna, mirt się zieleni, zęby świecą, a od ślubnego bukietu pachnie lilijkami jak w ogródku Maryi Panny.

Dziadek lubił słuchać radia. Kiedy człapiąc pojawiał się w porze obiadowej, babcia obrzucała go nienawistnym spojrzeniem i zaczynała głośniejszurać garnkami po blasze, pojawiał się kot i ocierał o piegowate, muskularne podudzia, mógł dostać wtedy kopniaka, babcia była zła, miała święte prawo, bo przecież nie miała „casu”. Dziadek już czekał, makaron kipiał, pod blachą nie chciało się palić i dymiło „na dysc”, świnię kwiczały, ryczała niewydojona krowa. Dziadek sięgał suchą, brązową ręką do gałki radia i kręcił. Do szaleństwa południowych dźwięków dołączały się strzępy jazzu, gadania w różnych językach, szmery i trzaski, babcia wściekała się w jednej chwili, leciały soczyste gromy, spadała łyżka, kot czmychał z rozdzierającym miałknięciem, syczał kipiący garnek i zalewał blachę produkując parę jak obłok. Dziadek zwykle dawał za wygraną, przekręcał gałkę, uciekał do swojej szopy i dłużał przy czymś, czekając na wołanie, że obiad na stole. Wtedy pojawiał się jeszcze raz, kładł czapkę, robił znak krzyża i zabierał się za jedzenie. Jadło się makaron z mlekiem, makaron z serem, pierogi z serem, bób, zupę grzybową, ziemniaki z mizerią. Raz w tygodniu, w niedzielę, jakaś kura poświęcała życie dla rosółu, babcia bez

sentymentów zanosila wierzgajacy klębek piór na pieniek i siekierą wykonywała egzekucję. Nie było rady na babcię, nie obchodziło jej, czy rani moje uczucia, śliczna i słodka kurka wędrowała najpierw na pień a potem do cebrzyka z wrzątkiem.

Parzyło się kurę z każdej strony a potem taką jeszcze dymiącą, obskubywało z pierza. Najpierw boczyłam się na babcię i powtarzałam, że wolę makaron z mlekiem, gasiła mnie jednym szorstkim i kpiącym zdaniem, nie było rady, brałam się za wyrywanie gorących piórek, wylaziły z kury w zabawny sposób, z pyknięciem, każde piórko miało ostry koniuszek, każde było miękkie i piękne, na brązową kurę składały się tysiące wielobarwnych wachlarzyków, żadne nie było godne porzucenia, a przecież babcia wylewała cebrzyk z piórami na gnój – zostawiam sobie parę najładniejszych, wrzucam na spód walizki. Moja osobista historia to trochę jak historia ocalania śmieci. Piórek, kamyków, suchych liści, zębów mlecznych, fantastycznych w kształcie korzeni, wszystko pospolite, a przecież unikalne w kształcie, barwie, żal, że musi się rozsypać, jeszcze na chwilę ocalam, czasem na jeden dzień, czasem na długo.

Dziadek nie miał wykształcenia, tak samo babcia. Lubił za to po chłopsku filozofować, za co zbierał cięgi od żony. Takie ciągoty do głośnych rozmyślań tkwiły chyba w genach dziadkowych, bo jego bracia też lubili snuć głośne monologi, z refleksjami dotyczącymi natury świata i człowieka. Rozmyślania te, czerstwe, zdrowe i twarde, nierozmiękczone żadną lekturą, były fascynujące dla uszu dziecka. Wisiałam oczami na wąsach dziadkowych braci, spod których wychodziły perory o porządkach kosmosu. Bracia mieli solidne kręgosłupy religijne, surowe jak belki podpierające strop kościołka, nad którym złowrogo wisiał cmentarz na górze. Kiedy podrosłam, lubiłam wtrącać swoje trzy grosze do tych rozmów, wujeczni dziadkowie uśmiechali się z przymusem, dzieciom nie wolno było się wtrącać, a już na pewno nie „dziopom”, dziopy miały swoje miejsce przy maselnicy, nie powinny pokazywać kolan, w tych miastach to zepsucie i zgorszenie, będzie za to kara boska. A człowiek to od małpy pochodzi – wtykałam kij w mrowisko, starszuszki nadymali się złowrogo, a dziadek huczał – „jo już tela lot żyje i nie słyszotech, by się jakasik małpa w człowieka zmieniła, a pudzies ty, sralicko” – brał mnie za kołnierz i wyrzucał z komnaty. Komnata była izbą ciemną, ogromna grusza za oknem, po-

czerniałe święte oleodruki, wino pykające w gąsiorze, barłóg, na którym samotnie spał dziadek. Najmłodszy z braci, który zdradził ziemię ojcową i mieszkał w mieście pojawiał się w niedzielne popołudnia, z długim, czarnym parasolem, z grzywą pięknych włosów, miał bladą, uduchowioną twarz, bez wąsów, delikatne dłonie, lubił niezwykle, romantyczne przyodzievky, jakieś peleryny, swetry w przedziwnych barwach, któregoś dnia zapytał o książki na strychu dziadkowym, czy nie ma tam książek, dziadek pozwolił wejść do tego pachnącego kurzem rajy i już na zawsze zniknęły stamtąd błękitne tomy historii starożytnej, brat wrzucił je do walizki i zniknął, patrzyłam jak odchodzi ze swoją peleryną na wietrze. Jeszcze wczoraj leżały tam, ciężkie, w starym, podziurawionym kornikami szlufanku, nikt tego nie czytał, ja także nie, ale dotykanie ich to jakby nabożeństwo, trochę pogańska, a przecież żarliwa modlitwa. Zakradałam się na strych, w tajemnicy, bo nie było wolno, schody skrzypiały, wszędzie zapajęczone butelki, z pozapalаныmi światełkami słońca lejącego się spomiędzy desek, butelki brązowe, zielone, jak milion witrażyków, zapomniane pęczki dziurawca i rumianku, niepokój kociej mamy, znowu miała kocięta w stercie starych liści do ocieplania dachu. Cisza i lęk jak w kościele, złowrogie, milczące banie os, uroczyście otwieram księgę, złote litery na okładce, rozsypujące się trochę niebieskie płótno, żółte, sztywne karty. W środku aż kipi od zagadek, niby po polsku, a przecież nie po naszymu, dziwne rysunki o czarodziejskich liniach, małe sacrum, poczta z innego świata. Kochałam świat dziadków, był słoneczny, pachnący i prawdziwy, ale to był świat wakacji, wracałam po nich do bloku w mieście, a tam telewizja, rodzice do pracy, po pracy, pranie, kolejka, telewizja, tata znowu zapije. Książki na strychu dziadków to było zmateralizowane przeczcucie innego życia, jakbym za każdym razem nurkowała pod zielony kozuch na stawie i podnosiła z dna pierścienie.

Lepiej dziś ten wodny pejzaż z pierścieniem, pejzaż na mój obraz i podobieństwo, dłużej w głowie jak w glinie na zmianę mroczne i jasne korytarzyki, niebezpiecznie umyka ode mnie logika. Trochę jak w obrazie Vermeera *Ważąca perłę* ważę z wciąż każdy dzień, na drugiej szalce malutka modrzewiowa szyszka, firanki pęcznieją od słońca, jeszcze całego w uśmiechach i jabłkach antonówkach, otwieram okno domu, którego nie ma, drzwi ganku, furtkę, oczy. Pisze się tutaj moje milczenie.

PIOTR ROWICKI
godło: „Elvira”



II nagroda w kategorii prozy

PIOTR ROWICKI – historyk, nagradzany i wyróżniany w kilkunastu ogólnopolskich konkursach prozatorskich i poetyckich. Laureat m.in.: XIX Konkursu im. Józefa Ignacego Kraszewskiego w Białej Podlaskiej, XXIII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O Laur Jabłoni” w Grójcu oraz II Konkursu Poetyckiego im. Jana Kulki w Łomży. Laureat XI i XV edycji „Krajobrazów Słowa”. Autor dwóch książek „Mężczyzna i Bestia” (Wydawnictwo Finalik, Warszawa 2005), „Przed górami, przed lasami czyli bajki dla dorosłych” (Wydawnictwo Kos, Katowice 2005).

BIAŁE PANTOFELKI

Dom. Drewniany pojemnik na ludzi. Pudełko na górcę. Kwadrat starannie wymierzony i wytyczony. Kwadrat osłonięty drzewem, kwadrat ocieniony. Miejsce gdzie wnosi się dzieci i wynosi umarłych. Czterobok dzieciństwa. Czterobok pełni życia. Czterobok pustki.

Magazyn pajęczyn. Przytulisko dla świecy, wiatrołap. Azył much. Raj owadów. Przekleństwo zniedołężniałych. Arka zmoczonych deszczem. Tu pani westalka rozpala ogień. Tu kręci się metalowy kogut. Tu pies podnosi nogę i oznacza ojczyznę. Tu skrzypi fotel na biegunach, i łóżko, i okna. Strzelają duchy-okiennice.

Dom bielony. Dom zielony. Dom odnaleziony. Dom z gankiem, z winem, ze słońcem, z bzem.

Dom wesoly. Dom głośny. Dom weselny. Dom pogrzebowy. Dom święty.

Dom z gniazdami ptaków. Dom gniazdo. Dom schron. Dom pyszny. Dom pachnący. Dom przy lesie. Dom nawiedzony. Dom zbombardowany. Ostrzelany. Zgwałcony. Dom bez drzwi i okien. Dom przeklęty. Dom opuszczony.

Mężczyźni wyprowadzili się z domu. Ubrali się jednakowo i wolą mieszkać osobno. W lasach, w wykopanych dołach albo na gołej ziemi. Mężczyźni rzucają w siebie kawałkami metalu, kobiety czekają. Najgorsze są wielkie metalowe trumny, które latają górą. Potrafią zrzucać bomby. Jedna bomba może zniszczyć dom. Nie wiem czemu ludzie nawzajem niszczą sobie domy. To głupie.

Dom nie powinien stać pusty. Dobrze jak w domu jest człowiek. Człowiek nie musi być w domu cały czas. Może wchodzić i wychodzić, może znikać na pewien czas, ale musi o domu pamiętać. Mieć w sobie taką myśl – jest coś, co na mnie czeka, miejsce gdzie mogę wrócić, gdzie powinienem wrócić. Mieć w sobie taką potrzebę. Pielęgnować ją

i podsycać. Myśl o domu powinna być jak wspomnienie o ukochanej, pojawiający się przed oczami obraz, obraz niosący spokój i ciepło. Myśl o domu powinna być podniecająca jak myśl o piersiach dziewczyny. Podniecająca naprawdę, całkowicie. Dom powinien kojarzyć się z piersiami, udami, łonem, zapachem jej szyi i włosów. Róża i jaśmin po deszczu. Wtedy tylko do domu chce się wracać, wtedy tylko pokona się wszystkie trudności, które stoją na drodze powrotu.

Belki na poddaszu trzeba sprawdzać, co kilka lat smarować odpowiednim mazidłem. Jeśli się o tym zapomni, załęgną się robaki. Będą drążyć milimetr po milimetrze, a będzie ich coraz więcej. Rozmnożą się i będą mieć dzieci, a te dzieci też będą mieć dzieci. I razem będą drążyć. A przecież belki podtrzymują dach. Dach jest w domu najważniejszy. To jak głowa u człowieka.

Dom powinien być pełen ludzi. Jeśli nawet są jakieś plamy wilgoci, jakieś fragmenty bez tynku, jeśli nawet ludzie wchodzą nie wycierając butów, to mimo wszystko jest dobrze. Wilgoć i błoto są brzydkie, ale z czasem wysychają. Przychodzi wiosna, otwiera się okna i wszystko robi się jasne i czyste. Biel jest lepsza niż szarość. Radość z pełnego domu jest największą z możliwych radości. Drzwi się otwierają i zamykają. Ktoś patrzy w okno. Ktoś chodzi po skrzypiącej podłodze. Ludzie potrafią robić w domu różne rzeczy. Dzieci uwielbiają się w domu bawić w dom. Uwielbiają wdrapywać się na strych, wdychać kurz, chować się za kominem, grzebać w kufrach. Dzieci bywają niebezpieczne. Gdy są same rysują ściany, wybijają szyby albo rozpalają ognisko. Dorośli lubią siedzieć przy stole. Godzinami patrzą na siebie, na sufit, na ściany. Godzinami mówią bez sensu. Nocami dorośli lubią pisać sprężynami łóżek. Kładą się na sobie aż miło. Tak blisko, belka przy belce. Złączeni w strop, splecieni więźbą. Potem leżą długo patrząc w górę. Mężczyźni palą papierosy a kobiety wtulają się im pod pachy. Dom zawsze powinien być pełen miłości.

Kiedyś było tak, że obecnością ludzi w domu rządziła przyroda. Zimą wychodzili późno i rzadko, wracali szybko i bardzo się cieszyli kiedy mogli zostać. Latem odwrotnie. Wychodzili wcześniej rano i wracali dopiero po zachodzie słońca. Nawet jedli na zewnątrz. Nawet kładli się na sobie na łąkach, w stogach albo w ogrodzie. Dom im był niepotrzebny. Gdyby nie sen wynieśli by się na całe miesiące. Dom latem był tylko zbiorem ubrań, magazynkiem na jedzenie, piwnicą

na wino. Dom był mało ważny. No, chyba, że ulewa, burza, wtedy to tak. Wtedy dom był przydatny. Wtedy pojawiał się strach. O piorun, o pożar, o zniszczenie. Burza minęła i o wszystkim się zapominało. Teraz wszystko się zmieniło. Kobiety, które zostały nie opuszczają domu. Siedzą w oknach. Czekają i słuchają. A dom niszcze.

Ludzie nigdy nie rozumieją, że dom jest ich częścią, taką samą jak myśli, sny, uczucia. Dom wydaje się im osłoną przed wiatrem, jakąś bliżej nieokreśloną wiatą. Dom to dla nich szatnia, w której można powiesić płaszcz. A przecież, kiedy nawet w upalne popołudnie ma otwarte wszystkie okna i jest przeciąg, to nawet wtedy dom jest pełen myśli, słów i zdarzeń. Każda deska, każdy gwóźdź są wypełnione pamięcią. I ta pajęczyna, której nikt nie jest łaskaw zdjąć, i ta plama w rogu okna i zasuszone mrówka. One doskonale wszystko pamiętają.

Dobrze jest jak wokół domu rosną kwiaty. Pan domu i pani domu jedzą z talerza zupę i patrzą na malwy. Lepiej jest jeść zupę patrząc na kwiaty, niż w nic. Kwiaty dają zapach i kolor. Dom sam w sobie nie ma zapachu. Przechowuje i oddaje zapachy innych. Czasem zdarza się tak, że w domu jest fetor. Człowiek potrafi cuchnąć. Człowiek, który się nie myje. Człowiek, który wyrzucał obornik. Człowiek, który upił się i śpi. Człowiek, który umarł. Fetor potrafi zagnieździć się na wiele lat i nic nie jest w stanie go usunąć. Zapach wsiąka w bierwiona, ściany, podłogi i strop, i jedynym wyjściem jest pożar. Pożar zostawia po sobie swąd, który czuć wiele kilometrów. Pożar i samotność to najgorsze rzeczy jakie wymyślił dla domu człowiek. Przed domem oprócz kwiatów powinien być ogródek z bylinami i krzewami. Na przykład sumak octowiec, śliwa ałycza. Sad niech mieści się blisko domu.

Dobrze jest jak wokół domu jest równy chodnik, tak żeby w razie potrzeby można biec. Często się zdarza, że się do domu z czymś biegnie albo przed czymś, albo dla kogoś. Wtedy równy chodnik bardzo się przydaje. Człowiek, który wywróci się przed domem jest zły i obwinia dom o to, co się stało. Zły człowiek potrafi powiedzieć na dom bardzo przykre słowa. Słowa, te są jak drzazgi. Na przykład, że w domu zamieszkał czart, albo że lichy w nim śpi. Niektórym zdaje się nawet, że są domy, które straszą. Straszny dom – mówią. Nie ma strasznych domów. Są tylko straszni domownicy.

Obok domu mogą też być drzewa. Ale niezbyt duże. Duże drzewa

stają się niebezpieczne i zachłanne. Chcą zarosnąć dom. Otulają jej gałęziami, sypią liśćmi i kawałkami kory. Najchętniej pożarłyby dom, albo zamieniły go w jedną z dziupli. Drzewa szczytą się tym, że dają cień. Może i dają, ale nie zawsze cień jest potrzebny. Nikt tak dobrze nie budzi jak słońce zaglądające rano przez szybę. Duże drzewa są dobre, ale tylko w postaci stołu. Drzewa nienawidzą domu. Dom to zabite drzewa, które człowiek poustawiał równo, połączył, powiązał. Drzewa chociaż zabite nie umierają od razu. Przez wiele lat płyną w nich żywe soki. I dopiero kiedy wyschną do reszty przestają myśleć o ucieczce. Dom jest ich więzieniem. Nie mogą się poruszać, huścić na wietrze, są nagie, nie wiedzą kiedy nadchodzi jesień. Nie mogą zrozumieć, że to człowiek jest wszystkiemu winien, dom jest tylko domem. Fachwerk musi być solidny. Dach może zerwać wiatr, ale mur powinien być wieczny. Są tacy co psują ściany, wypełniając je samą gliną i tylko od czasu do czasu dodając trochę cegły albo gruzu. Jak skwarek do kartofli. Tylko zły gospodarz tak buduje i wcześniej czy później za to zło odpowie. Odpowie mu podwalina i oczep i belki, zemszczą się na nim słupki, zastrzały i rygle. Dom może zabić. Bo zło musi być złem zwalczone.

Kiedyś ludzie szanowali domy. I domy odpłacały się ludziom; ciepłem zimą, chłodem latem. Teraz ludzie tylko mieszkają. I to coraz rzadziej. Wielu uciekło z domów. Całymi kawałkami odpadają tynki, wał się stropy. Ludzie rąbią domy i palą po kawałku. W opuszczonych domach organizują schrony i magazyny. Otwartych okien używają jako strzelnic. Najgorsze zaczęło się niedawno. Przybysze na koniach i w żelaznych wozach wjeżdżają w dom bez przywitania. Płdrują, rozkradają i odchodzą. Domy długo nie mogą do siebie dojść. Bo co może? Tupnąć, rozplakać się, pójść w świat. Dom może się spalić albo zapaść pod ziemię, ze wstydu.

Dziwne nadeszły czasy dla domów. Stare niszczą, zapadają się w ziemię, nowych nikt nie chce stawiać. Cieszą się tylko sosny, może jeszcze polne kamienie, że ich nie biorą do podmurówki. Dawni majstrzy poumierali, nowi wolą inne zajęcia, na przykład strzelanie. Nikt nie miesza wapna, nie bieli. Próżno wyglądać ozdobnych szalunków na drzwiach, wypatrywać końskich łbów albo rogów w wiatrownicach. Na to nikt nie ma czasu ani serca. Jeszcze parę lat temu, jeden przez drugiego szalunki olejnymi farbami malowali. A to w brązie, a to

w zieleni. Jaki ktoś miał w szczycie romby albo kwadraty to zaraz sąsiad z zazdrości układał jodłę albo słońce. Kobiety nad oknami umieszczały ażurowe dekoracje – nadokienniki, w których można by rozpoznać całą łąkę i pół lasu. Kamienia przy wejściu się nie kładzie. Mówiono, że pod głazem ukryte są duchy stojące na straży domostwa. Jak pan młody pierwszy raz przychodził z oblubienicą, to ją przez próg przenosił, żeby z duchami nie zadrzeć. Dopiero po spędzeniu nocy z mężem oblubienica stawiała się częścią rodziny. I odtąd duchy drzemiące pod progiem mogły bez przeszkód wpuszczać nową gospodynię do domu. Gdzie są teraz te duchy? Dlaczego wpuszczają obcych?

* * *

Moja skóra ma szary odcień. Zupełnie jak w zeszłym tygodniu, gdy przejechała ciężarówka. Krew mi skrzepła i przechadza się po niej muchy. Muchy są głupie i leniwe. Muchy srają gdzie popadnie.

Biegąc przez las okrywam się kawałkami mchu. Jest zimny i ma w sobie dużo wody. Gdy się go nadepnie syczy i wypływa krople. Prowadzę do miasta. Z miasta do miasta. Przez wieś. Mam długi, garbaty nos i jestem brzydka. Moje dzieci nazywają się ścieżki. Zapomniały o mnie, pozarastały, umierają.

W szczerym polu czuję się goła. Pszenica kładzie mi na głowę swoje ręce, ale to nie wystarczy. Zresztą w tym roku nie będzie pszenicy ani owsa, ani niczego. Będzie pustka. Goła i przerażająca jak stara, pijana kobieta.

Czuję się stara i brzydka. Niepotrzebna. Omijana. Grudki ziemi wyszarpane spod kopyt, stóp, kół i gąsienic, oblepiły drzewa, trawę ludzi i zwierzęta. W lejach i rynnach płynie maź. Nie, to nie rzeka. Jestem brudna i płytka. Chciałabym kiedyś zamienić się w prawdziwą rzekę. Nie mogę na siebie patrzeć, nie mogę siebie wytrzymać. Ile waży jeden czołg? A cała dywizja, a front.

Kiedyś biegały po mnie dziecięce stópki, przejechała dwukółka. Roztkliwiam się, niepotrzebnie. Zimą przynajmniej staram się robić wrażenie, udawać, że jestem, że prowadzę, że ktoś mnie kiedyś wyznaczył od punktu A do punktu B. A potem robi się ciepło i wszystko się zaczyna. Przekleństwa we wszystkich językach.

Wycieki ropy, krew i deszcz tworzą przedziwną mozaikę, na którą nikt nie ma czasu patrzeć. Jakiś chłopiec ukucnął na chwilę i zaczął

przeglądać się w kałuży, trwało to tylko chwilę, matka ciągnąca wózek szarpnęła go i poszli dalej.

Numery butów, setki tysięcy nóg, zamazywanych jedna przez drugą.

Zwłoki, które wpasowały się w koleinę. Nikt ich nie wyciągał. Były jak kamienie, którymi kiedyś mnie utwardzano. Przejechał czołg, przejechał transporter, ciężarówka i zwłoki wtuliły się w ziemię, koleina znów wolna, w oczekiwaniu na wypełnienie. Może to i dobry pomysł, żeby drogi wykładać ludźmi. Jeden na drugim, jeden na drugi. Czaszka przy czaszce. Ludzkie łby. Potem jechało by auto i słyszać było miły terkot. Przejazdźka po człowieczeństwie. Ale nie, ludzie boją się drogi. Droga to ostrzał. Droga to cel. Z drugiej strony myślą o mnie dobrze. Droga to ucieczka. Droga to nadzieja. Już sama nie wiem.

Czasem tęsknię za pustką. Za ciszą. Za nicością. Wyobrażam sobie, że porasta mnie trawa. Tkwię w bezmiarze czasu, przyglądam się obłokom i zarastam. Wypuszczam kwiaty, czasem przebiegnie zając. To wszystko. Nic się nie dzieje. Tylko pory roku. Nikt mnie nie depcze, nie kłuje, nie kopie, nikt ze mnie niczego nie wyciąga.

Zostawiają zapach: tytoń, pot, skórzane podeszwy.

Zostawiają myśli: kiedy się skończy, co jest za zakrętem, ile jeszcze, czy przeżyję, czy nas dogonią, czy ich dogonimy, kiedy będzie postój, kiedy wreszcie ruszymy, kiedy skończy się dzień, kiedy skończy się noc, kiedy skończy się wojna.

Zostawiają słowa: przekleństwa, rozkazy, prośby, modlitwy, westchnięcia, łkania, nawoływania.

Zostawiają marzenia: kiedy będę wracał tą drogą, jechać na wesele, jechać konną z ukochaną.

Czuję się stara i brzydka. Niepotrzebna. Omijana. Grudki ziemi, moje dzieci rozpełzły się po świecie. Przez dziury po bombach można by zajrzeć do piekła, ale po co. Piekło jest tu. Piekło nadlatuje z góry, zwała się z łoskotem katiusz. Piekło spada z samolotów. Rozrywa mnie na miliony ziaren. Ludzi na części. Tworzy się jezioro. Morze czerwone.

Ciągle żyję. Omszała kurwa, bajoro śmierci. Jakbym wszystkiemu była winna. Jakby wszystko rozpętała. I pośpiech, i błoto, i leje, i szaleństwo. Nie patrzcie tak na mnie, kiedyś byłam sucha i czysta, latem się delikatnie kurzyłam, obmywałam ranno rosą i niewinną popołudniową burzą.

Kładę we mnie sosnowe belki, onuce, gruz z domów, połamane drzewce i resztki z dzbanów. To wszystko mało. Moje bagno jest wszechpotężne. Potrzeba więcej, wciąż więcej. Żeby przejść suchą nogą i przeżyć.

Wózki pełne ubrań, garnków i książek. Coraz więcej wózków. Ciągną kobiety i dzieci, które ledwie chodzą. Wózki o plastikowych kółkach, wózki dla lalek. Ze wschodu na zachód, z południa na północ, coraz szybciej i więcej. Z zadyszką, kaszlem, katarem. Na drogę, w drogę, byle do drogi.

Agonia. Nie ma mnie. Jestem bezkształtną dziurą. Hekatombą. Jestem zagładą. Zajeżdżili mnie na śmierć. Zachodzili. A żeby ich...

* * *

Czuje, że inaczej płynie czas. Jest płaski i nieruchomy. Zanurzam się w nim i trwam. Teraźniejszość rozciągnęła się. Czuje też, że jestem częścią przeszłości, tego wszystkiego co mnie spotkało, ukształtowało. Nie poruszam się w czasie. Czas przepływa przeze mnie. Czas się ślimaczy i nie mam na to żadnego wpływu. Nie mogę go pogonić ani sprawić, żeby nie istniał. Cieknie przeze mnie, ale nie wycieka.

Nie wiem co było snem, a co zdarzyło się naprawdę. Nie wiem co jest teraźniejszością a co jawą. Widzę wiele żyć i wiele śmierci. Widzę obrazy, sprzęty, ludzi i ubrania. Białe pantofelki. Nigdy w dzieciństwie takich nie miałam. Marzyłam tylko, a teraz są. Mogę ich dotknąć.

Moje dzieciństwo przydarzyło się mi, czy tylko przyśniło? Lothar, Fabian, Edith, Odetta. Są, czy byli? Czy w ogóle ich nigdy nie było?

Tańczę w czerwonej sukni z rozplecionymi włosami? To mój ślub? A może mojej siostry? Ktoś łapie mnie za rękę, czuję na policzku cmoknięcie.

Jestem w zawieszeniu. Biegam po łące bawiąc się kolorowym parasolem. Uciekam przed deszczem. Uciekam. Odbijam się i zaczynam latać. W pewnym momencie radość zamienia się w przerażenie i coś ciągnie mnie w przepaść.

Tańczę w czerwonej sukni z włosami zaplecionymi w warkocz. Idę do szkoły? A może wracam. Przypominam sobie w tym domu, przed którym stoję mieszka wysoki chłopiec. Zaraz, jak on miał na imię. Chodziliśmy na jabłka, uczył mnie kraść. Kiedyś włożył mi rękę za majtki. Potem więcej tędy nie chodziłam.

Jestem w czerwonej sukni. Po nogach cieknie mi krew. Mamo, mamusiu, coś mi się stało, coś mi się stało, ja chyba umrę.

Czerwona suknia leży obok. Pachnie siano. Jego głowa na moich piersiach. Gładzę go, śpi. Wychodzę w czerwonej sukni. Jestem w ciąży. W pierwszej, w drugiej, w trzeciej.

Odkąd umarłam czuję się coraz gorzej. Ledwo wdrapałam się na strych. Wszyscy na mnie czekali. Mój Lothar, Rudolf, Elvira, Eva, Christine, Carl, Andreas. I wielu innych. Było tłoczno i duszno. Czy ktoś może otworzyć to cholerne okno? Lothar odpowiedział mi, że nie wolno, że jest to zabronione. A potem ktoś zaczął się przeciskać. Mój Boże – Fabian!

Ocucono mnie kroplami. Chciałam z nim porozmawiać, ale Elvira wytłumaczyła mi, że o jedenastej zaczyna się cisza nocna. Nic mi nie wolno. Nawet syna przytulić, zapytać. Nie słuchałam ich. Wszędzie był straszny brud. Złapałam za miotłę i ogarnęłam skrzynię. Usiedliśmy. Fabian opowiedział mi o swojej śmierci w obozie dla jeńców. Nie męczył się zbyt długo. Trzy tygodnie. Szybko poszło. Zleciało niewiadomo kiedy.

Stopniowo wzrok się przyzwyczajał. Poznawałam kolejnych mieszkańców. Kłaniali mi się zdawkowo, machali ręką, niektórzy wręcz odwracali głowę.

Śmierć tym tylko różniła się od życia, że nie chciało się jeść. Reszta była taka sama.

O siódmej zaczęło się piekło. Wydierały się dzieci. Stary Carl zdjął protezę i zaczął wydłubywać sobie robaki. Kobiety szydełkowały, ktoś przeglądał gazetę.

Bolało mnie całe ciało. Czy jest tu jakiś lekarz? Był. Andreas. Zbadał mnie, ostukał, zajrzał w gardło i westchnął – nic takiego. – Jak to nic takiego? – Normalna nerwica. Przejdzie. Zresztą wszyscy ją tu mają.

Fabian przyprowadził do mnie kuzyna, którego miałam niby pamiętać. Był to jakiś biedny prostak, umarł niedawno na zakażenie krwi. Trzymał się za serce i powtarzał cały czas to samo: bydlą sto sztuk z tego siedemdziesiąt mlecznych, cielaków trzydzieści, dwa byki rozplodowe.

Kuzyn, okazało się zostawił ciężarną żonę na gospodarce i martwił się co z nią będzie. Pocieszyłam go, że pewno wszystko będzie dobrze, żona niedługo dołączy i razem będą się mogli zamartwiać. Poszedł

sobie. Ciągłe mi nie dawało spokoju, dlaczego ci wszyscy gnieżdżą się w tym jednym miejscu. Fabian nie wiedział. Jakaś staruszka, której nie poznałam, a jak się okazało była siostrą mojej babki powiedziała, że ktoś na górze o tym zdecydował a my jako obywatele niemieccy nie powinniśmy się temu dziwić, tylko wykonywać.

Nic się nie działo. Którejś nocy ten od byków rozplodowych próbował się powiesić. Wisiał, wisiał i nic. Powiedziałam mu, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Spojrzał na mnie i wyrecytował – była sto sztuk z tego siedemdziesiąt mlecznych, cielaków trzydzieści, dwa byki rozplodowe.

Doszłam do wniosku, że jednak na coś czekamy. Na co? Jeszcze nie byłam pewna. Na śmierć ostateczną? Na sąd? Na karę? Najgorsze, że nie wolno nam było patrzeć w dół, ani też wyglądać przez okno. Nocą można było na kilka godzin otworzyć okno. To wszystko. Matka powiedziała mi, że czekanie to nasz święty obowiązek wobec ojczyzny. Rozśmieszyła mnie. Całe moje życie to był święty obowiązek wobec ojczyzny. Urodziliśmy się, bo ojczyzna nas potrzebowała. Chodziliśmy do szkoły, żeby ojczyzna miała świątłych i mądrych obywateli. Wyszliśmy za mąż z miłości do ojczyzny i z tej samej miłości daliśmy się zapłodnić, żeby ojczyzna nie zginęła. Potem wykonaliśmy najświętszy obowiązek, przestałyśmy oddychać, a teraz jeszcze mamy czekać? Ile?

Ocknęłam się w środku nocy. Dlaczego nie ma ojca? Dlaczego nie ma mojego ojca? Dlaczego go nie ma? Matka poderwała się i przyłożyła dłoń do ust. – Cicho, zwariowałaś?

Ojca nie było, bo to był strych dla niemieckich duchów. Wszyscy urodzili się w tym domu. Tak. To było to. Duchy po śmierci ciągle zachowywały część swojej tożsamości. Duchy polskie trzymały się z polskimi, a niemieckie z niemieckimi.

Nad ranem słysząc było radio z dołu. Grano Bacha, Handla, Mozarta i Glucka. To oznaczało, że Rosjan jeszcze nie ma. Może w ogóle nie przyjdą?

Większość z mieszkańców ciągle nie może pogodzić się ze śmiercią. Mały blondynek, Fabian go nie zna, ze łzami w oczach opowiadał, że on nie mógł się utopić w stawku, bo tego dnia, gdy to się stało, wcale się nie kąpał, było zimno i padał deszcz. Mój Lothar kaszląc i plując obiecywał, że tak naprawdę palił bardzo mało i niemożliwe, żeby

od głupiego tytoniu zniszczyć sobie płuca. Każdy miał swoją historię i każdy był pewien, że powinien żyć, że zaszła jakaś pomyłka.

Czas wlecze się straszliwie. Otepiała patrzę się w pajęczyny, marząc, żeby to się wreszcie skończyło. Żeby zamknąć oczy tak naprawdę. Zasnąć i nie obudzić się.

Czy da się raz jeszcze umrzeć? Eva mówi, że można. Trzeba tylko bardzo chcieć. Rudolf uważa, że to niemożliwe. Poza tym druga śmierć, tak samo jak pierwsza nic nie zmienia. Ktoś z tyłu szepcze, że dopiero za trzecim razem umiera się naprawdę. Rudolf ze smutkiem potakuje. Łatwiej wielbładowi przejść przez ucho igielne, niż człowiekowi trzy razy umrzeć.

Nie wiem ile minęło dni, może lat. Obudziło mnie śpiewanie. Poznałam ją. To była Ada. Uklękłam przy włączu i zaczęłam się jej przyglądać. W futrze na ramionach biegała po domu. Zwariowała? Gdzie Edith, gdzie Odetta? Co tam się działo. Ktoś pociągnął mnie za ramię. Odepchnęłam go. Nie wolno i nie wolno. A gównu! To mój dom! Zostawcie mnie, łapy przy sobie. Odsunęłam włącz i zesłam na dół. Ada była kompletnie pijana. Zataczała się i plotła jakieś głupstwa. Że ją tu siłą, że czeka na nich, że wygląda, że bardzo im jest wdzięczna, że przyszli i niech czują się jak u siebie. Niech biorą co im się podoba, niech sobie niczego nie żalują, że piwnica jest dobrze zaopatrzona, i że mogą zapakować wszystko, że ona swoje wypila i koniec z tym, ani kropli więcej, ani łyka. Wojna to wojna, trzeba jakoś przetrwać, jakoś się znieczulić na tą Trzecią Rzeszę. Młodej nie ruszajcie, ona niczemu niewinna, chodzi sobie bidula po świecie, kwiatki wacha o poezji gada, dajcie jej spokój, dziecko jeszcze.

Gdybym mogła nią potrząsnąć. Powiedzieć coś. Dotknąć. Mogłam tylko patrzeć. Uchłapała się i charczała jak zwierzę, w pewnym momencie pojawiła się Edith. W Adę jakby diabeł wstąpił, zaczęła płuć, dusiła Edith, kopala, a na koniec wybiegła gdzieś i wróciła z młotkiem. Byłam przerażona. Taka porządna, tak dobra dziewczyna. Ona jedna miała dla mnie cierpliwość. A teraz. Na moich oczach dokonywała zbrodni. Mordowała moją synową. Fabian, Fabian pomóż jej, ona ją zamęczy. Odetta, gdzie jesteś. Trzeba ratować. Ktoś wciągnął mnie na strych a zaraz potem zjawiła się Edith. Dyszała ciężko. Miała pokrwawione ręce, nogi i bok. Wyglądała jak... Chrystus.

Nie powiem, że ją lubiłam. Nienawidziłam od samego początku.

Przez cały czas modliłam się, żeby Fabian uwolnił się od niej. Teraz widziałam ich razem i rozumiałam, że się myliłam.

Parę godzin później stało się najgorsze. Na strych wbiegli rosyjscy żołnierze i zaczęła się jatka. Szukali zegarków, czegoś do jedzenia. Ściągali buty, rozbierali kobiety. Najpierw te młode. Brutalnie rozchylali im nogi i wchodzili w nie. Przy wszystkich.

Ale jak? Przecież my, przecież to niemożliwe. My nie żyjemy. Nie mogą nas tak. Oni w ogóle nas nie widzą? Nie mogą! Dlaczego?

Fabian usiadł obok mnie, spuścił głowę. – Mamo, mogą. Oni... nie żyją.

Niemieckie i rosyjskie duchy wypełniły strych. Leżały przemieszane. Płatanina ścierwa. Ktoś krzyczał z bólu, ktoś wyl z rozkoszy. Bulgotało, kisiło się i kwiliło. Bezkształtna masa, w której od czasu do czasu rozpoznać można było czyjaś twarz, pośladek, rękę.

Poszli za swoim wojskiem. Kilka dni później. Wszystko wróciło do normy. Wydzierały się dzieci. Stary Carl zdjął protezę i zaczął wydłubywać sobie robaki. Kobiety szydełkowały, ktoś przeglądał gazetę.

Apotem nas wypędzili. Przeczytali rozkaz i dali godzinę na spakowanie. W długich sukniach, we frakach, z parasolkami przeciwsłonecznymi, w letnich bucikach albo boso ruszyliśmy na zachód.

Świat napędzała tajemnicza siła. We wszystkich kierunkach szły niezliczone zastępy. Polacy, Niemcy, Ukraińcy, Rosjanie, Czesi. Żywi i umarli. W kolumnach i w małych grupach. Pojedynczo. W parach. Z dziećmi na plecach. Z dziećmi w brzuchu.

Dokąd mamy iść?

Ktoś z umarłych powiedział, że tak będzie zawsze.

Żywi nie tracili nadziei.

Przed nami szły dzieci, którym odrąbano głowy. Niosły je w rękach. Tak było wygodniej. Przypomniałam sobie, że w dzieciństwie marzyłam o tym, żeby mieć zdejmowaną głowę. Że od czasu do czasu można by pochodzić bez niej. Zawijałam sobie przepaskę i udawałam. Ale to nie było to.

Od zachodu wracali zwycięzcy. Ci zabici najbardziej płakali. Że tak ciut, ciut im zabrakło. Że to niesprawiedliwe. Rzucali w nas kamieniami i pokrzykiwali. Przestali wierzyć, że zgwałcenie staruszki przynosi szczęście.

Spotkaliśmy w lesie siedmiu chłopców z Hitlerjugend. Wszyscy mieli rany klute, po bagnietach. Mówili jednocześnie, że teraz będą bawić się w Indian. Że zapuszczą włosy i przehaftują sztandary, drzewce wygną w luki. Potrzebują tylko trochę czasu. Schowają się w lesie i przeczekają. Nie będą tracić czasu. Będą ćwiczyć nieustannie, tak jak do tej pory, tyle, że co innego. Tamto przestało się im podobać. A w Indian to co innego. Trzeba być sprytnym, wytrwałym i czujnym a nie tylko silnym i zdyscyplinowanym.

Im dalej na zachód tym więcej było nieżywych.

SS-mani z zapalem próbowali udawać żywych, ale im nie wychodziło. Mówienie na głos: „żyję, żyję” było marnym pomysłem. Najbardziej denerwowało ich to, że nikt się ich nie boi. Wymachiwali pistoletami, strzelali obcasami i wydawali komendy, które budziły uśmiech politowania. Mieli też pośród siebie proroka w białym prześcieradle. To był jakiś wysoki oficer z Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa. Mówił niczym pastor: „Błogosławiony, który czyta i ci, którzy słuchają słów proroctwa tego, i zachowują to, co w nim jest napisane; albowiem czas blisko jest. Oto idzie z obłokami i ujrzy go wszelkie oko, i ci, którzy go przebili; i narzekać będą przed nim wszystkie pokolenia ziemi. Tak. Amen”. Nie słuchali go, albo nie zrozumieli o czym mówił. Potem zaczęli pluć i wyśmiewać się z niego. Po słowach: „Jam jest Alfa i Omega, początek i koniec, mówi Pan, który jest i który był, i który przyjdzie ma, on Wszechmogący”. Włożyli mu wiadro na głowę i przywiązali do drzewa. Mówił dalej, ale nikt nie mógł go zrozumieć.

Półnaga dziewczynka wysoko na gałęzi starego dębu grała 11 sonatę na skrzypce Mozarta. Było to szczególnie wzruszające, przyciskała do ust grzebień, jasne długie włosy falowały na wietrze i zupełnie niczym się nie przejmowała. Ktoś zapytał, czemu nie idzie, pomachała tylko nogami i grała dalej.

Kilku volkssturmistów ciągle wierzyło w zwycięstwo. Próbowali naprawić pancerna. Opaskami z napisem „Deutsche Wehrmacht” czyścili jakieś elementy, pluli i dzielili się jednym papierosem. Pocieszali się, że za dzień lub dwa na pewno naprawią broń i będą mogli odciążyć główne siły.

A potem zjawił się anioł. Mój Boże, jak on przeklinał. Zanim powiedział: „znam uczynki twoje, i masz imię, że żyjesz; aleś jest umarły”, zanim wręczył nam białe szaty wyzwał nas od łajdusów i śmierdzieli.

Mówił, że jesteśmy faszystowskie gówna i właściwie powinno się nas unicestwić na wieki wieków, ale ci tam na górze zadecydowali inaczej, jego to nie obchodzi, ale mamy szansę. – Dlatego nie pokalajcie szat waszych i czyńcie pokutę. Kto zwycięży, ten będzie obleczony w szaty białe i nie wymażę imienia jego z ksiąg żywota, ale wyznam imię jego przed obliczem Ojca mego i przed Aniołami jego. Kto ma uszy, niechaj słucha. – Na koniec wręczył nam łopaty i powiedział, że na razie zajmujemy się odgruzowywaniem. Pogroził palcem i odleciał.

Nie wiem co jest snem, a co dzieje się naprawdę. Nie wiem co jest teraźniejszością, a co jawą. Widzę wiele żyć i wiele śmierci. Mam na nogach białe pantofelki. Nigdy w dzieciństwie takich nie miałam. Marzyłam tylko a teraz są. Mogę ich dotknąć.

ELŻBIETA BORKOWSKA
godło: „świętkara prowincjonalna”

III nagroda w kategorii prozy



ELŻBIETA BORKOWSKA – nauczycielka, debiutowała w 1977 roku na łamach „Korepetytora” wierszem „Biały bez”. Publikowała wielokrotnie na łamach „Ulotnej Przestrzeni”. Obecna w almanachu poetów ziemi kluczborskiej „Zaplątani w pędzle cyfr”.

O NAGŁEJ POTRZEBIE ZMIAN I STAŁOŚCI PROGU

Ta historia mogłaby zacząć się wszędzie – w każdym miejscu, ale musi zakończyć się na progu starego domu, który od kiedy istniał, stanowił dla kobiet z tej rodziny schronienie i opamiętanie. Każda z nas prędzej czy później zasiada na drewnianych schodach i powtarza rytuał zwieszenia głowy, stygnącej w filiżance herbaty, i tęsknoty za przekształceniem – zupełnie zbędnym bożemu światu.

Na początku o lustrze. Zwykle zaskakuje o poranku. W złożonej ramie pojawia się odbicie, które wywołuje złość właścicielki i nagle pochylenie nad kranem. Kilka garści zimnej wody chluśniętej prosto w twarz doprowadza tylko do chwilowego zdrętwienia skóry. Jeszcze jedno spojrzenie w szklaną taflę. No nic. Dzisiaj też będzie wyglądała jak po nieprzespanej nocy. Rozkołtunione włosy da się ujarzmić, ale walka z opuchlizną pod prawym okiem zajmie, cenne o tej porze dnia, piętnaście minut.

Dobrze, że wieczorem nie zapomniała o napełnieniu pojemnika na łód. Może zimna kostka przyłożona pod nieszczęsne oko załatwi sprawę. Pomyślała, że nie zniesie kolejnych pytań o to czy nie jest chora, czy wszystko w porządku. Któregoś dnia powie prawdę o nocnych koszmarach, bólach głowy, potrzebie podjęcia leczenia – może dadzą jej spokój. Uśmiechnęła się do tego pomysłu i prawie zobaczyła nieszczęśliwe oblicze szefa. Jasne, że nie będzie współczuł, a raczej skręci się w pól, gdy mu uświadomi, że będzie sam musiał załatwiać sprawy, które tak nonszalancko spycha na nią od miesięcy albo poszukać innej oślicy – zdolnej udźwignąć swoje i jego obowiązki.

Z szafki kuchennej wyjęła ulubioną filiżankę – delikatna porcelana, barbanckie złocenia i kwiatowa malatura. Jedyna filiżanka po Rozalii. Tysiące razy zastanawiała się, jakim cudem to porcelanowe cudo ocalało, po katastrofie jaką wywołała w dzieciństwie rzutem piłki w babciny kredens. Pamięta też swój strach i dźwięk rozsypujących się

dookoła skarbów, tak pieczołowicie gromadzonych i przechowywanych jak relikwie. Nie zapomniała też nagłego pojawienia się Rozalii, jej szeroko otwartych oczu i tego, co powiedziała:

– Nic to maleńka. Nic to. Nie trzeba się bać.

Jakże często przydałyby się te słowa – wypowiedziane cicho, ale dobitnie. Nie ma jednak mądrej Rozalii i trzeba sobie radzić samej. Jak sobie radzić? Ta myśl przemknęła przez głowę i trzeba przyznać, że wywołała zamęt w rytuale poranka. Kawa rozlała się brunatną smugą po nienagannie wyprasowanej bluzce, spłynęła po koronkach i wywołała napad wściekłości. Znowu to samo. Palce zacisnęły się wokół skroni i ból zapanował nad początkiem dnia. Rzeczywiście będzie musiała poszukać pomocy i ustalić źródło dolegliwości paraliżującej od wielu tygodni, i chyba mającej już za nic wymyślne środki farmakologiczne.

Nerwowe poszukiwania w szufladzie i w końcu tabletki w palcach. Teraz pod język i łyk wody. Rozpoczęło się czekanie na wytchnienie. Jak będzie tym razem? Dziesięć, dwadzieścia minut – zanim podniesie się ze stołka i będzie w stanie wstać, otworzyć szafę i wybrać kolejną szmatkę, w której pójdzie do cholernej pracy? A może wcale tam nie iść?

Ta myśl odgoniła ucisk w skroniach i zajęła do tego stopnia, że pośpiesznie wybrała numer do szefa i sprzedała mu historyjkę o nagłym rozstroju żołądka. Potem galop do przychodni i już po kilkunastu minutach trzymała w ręce wyłudzone L 4.

Nawet przez chwilę nie poczuła wyrzutów sumienia, że podle naciąga NFZ i wszystkich podatników Najjaśniejszej RP. Potrzebowała paru dni spokoju – bez obowiązków, terminów, widoku tych wszystkich, mocno na niby, zapracowanych współpracowników.

Co za ulga. Małe, okrągłe łgarstwo i tyle ciszy w zamian. Uznała, że spokojem nie należy gardzić, bo bywa, że jest bardziej potrzebny niż okrągła sumka wpływająca pod koniec miesiąca na konto. Popędzana nagłym wyobrażeniem wolności od papierów, telefonów, pośpiesznych łyków kolejnej zimnej kawy – dopadła sklepu spożywczego. Od wyfiokowanej pani Marii dowiedziała się, że ser świeży, a bułki rozpływają się w ustach. Dobrze. Niech coś wreszcie rozplynie się w ustach – może być proste śniadanie. Tak po prostu coś zje przed

południem i nie będzie to kubek z czymś, co niby przypomina zupę i ponoć jest pożywne. Zafunduje sobie wolne smarowanie bułki, leniwe parzenie herbaty i koniecznie muzykę w tle – wszystko jedno jaką. Uspokoi żołądek, który wariuje każdego ranka w oczekiwaniu, że wreszcie się zlituje i wrzuci jakiś wartościowy kąsek. Ta zmiana pewnie zdziwi budzące się do bytu wrzody i zmusi je do chwilowego zaprzestania ekspansji.

Zmiana. To słowo uznała za wyjątkowe. Nie musi się przecież ograniczać do zjedzenia śniadania – może przecież znacznie więcej.

Na myśl przyszedł jej Marianek. To wyjątkowa postać w jej miasteczku. Spotyka go na co dzień w drodze do pracy. Z takim urokiem potrafi poprosić o parę groszy na marne winko, że nie potrafi mu odmówić. Ujmuje ją ta pijacka szczerłość i pogarda do wymyślania historii dla rozczulenia kogoś, kto ma więcej niż dwa złote w portfelu. Kiedyś wprawiła w konsternację etatowe obserwatorki, gdy zasiadła z nim na ławce w parku pod szkołą. On pociągał ze zdobyczej butelczyny, a ona wysłuchiwała dziwnej opowieści. Nie przeszkadzał nawet smrodek zalatujący od niemytego ciała i sfatygowanego ubrania, a może raczej jego wspomnienia.

Marianek. Kilka pór roku temu nierozzerwalnie, jak twierdził, związał się z miejscową bandą odszczepieńców. Pasował do tej zbieraniny pseudopoetów i gniewnych malarzy. Przystawał nie tylko pokrętnością myślenia, ale również wizją szukania swego miejsca w osobliwym panteonie miernot. Którejś nocy dokonał odkrycia, które być może dawno było znane światu, ale dla niego stanowiło prawdę jak najbardziej własną. Pojął, że słowa czasami znaczą tyle, co odzyskanie wzroku i słuchu. Te z jego wierszy były, według niego, nadal ślepe i głuche. Zrozumiał, że dotąd rozmyślnie odwracał znaczenia i sam sobie śpiewał hosannę. Gdzieś tam podskórnie czuł, że nie dotyka poezji, a jego myśli rodzą parszywą prozę – zgrabnie rozpisaną w wersy. Wymyślił nawet nazwę dla swych kalekich tworków – *spopielone niemetaforycznie*.

W poczuciu totalnej klęski podjął próby powrotu do normy. Długo szukał metody na tak zwaną normalność. W końcu znalazł rozwiązanie. Jako doradcę i nauczyciela tyrana obrał przemądrzałego Platona. To on miał wyrwać go poezji i wymóc stałość w sposobie odczuwania.

Czasami w chwilach słabości, czy też z przyzwyczajenia – sięgał po papier i ołówek, ale zawsze po wypłuciu z siebie grafomaństwa potwarzał w odruchu popełnienia winy:

„Poeci, którzy podlegają na ogół zmiennym uczuciom,
a przez sztukę mogą w tym duchu oddziaływać na innych
powinni być wydaleny z doskonałego państwa”.

Nie sądziła, by Marianek sprawił zbytnie szkody lub wywołał roztargnienie w czyjejś duszy, ale po wysłuchaniu jego historii uznała, że na wygnanie skazał się sam. Zdziwiła się, że zna wywody Platona. Nie godziła się też z tezą Mariankową, że poeci gubią się w każdym żeglowaniu i nie wiedzą, iż ich chude dusze, zupełnie niepotrzebnie, obracają oś myślenia w kierunku przeciwnym obrotowi całości.

Powiedział jej, że znalazł sobie nowe zajęcie. Ponoć w chwilach ataku nagłej weny rusza przed siebie. Nazywa to wędrawaniem do-
nikąd. Najczęściej jednak dochodzi do linii lasu i nim słońce zanurzy ręce w potoku, próbuje dotknąć promieni. Bywa, że tam spędza noc z własnym cieniem.

Przekonywał ją, że wiodą długie dysputy o poezji, która skradała się przez lata – udając, że jest plamką światła, a może rozkoszą ze snu.

– Ot, taki majak, który prześladowe niejednego Marianka – uznała podnosząc się z ławki i wręczyła biedakowi następnego piąta na kolejny winny omam.

Nie myślała o tej rozmowie aż do dzisiaj. Ze wstydem uświadomiła sobie, że nigdy nie zadrżała jej ręka, gdy wybierała monety z portfela. Właściwie przyczyniała się do stanów upojenia pijaczka, który postanowił przestać być poetą, a zafascynowana jego opowieścią – bywała nawet dość hojna.

W nagłym pragnieniu zmian postanowiła przeobrazić, a raczej od-
żegnać Marianka od Platona, darmowego winka i wędrówek po zagubieniu.

Zachichotała złośliwie, gdy przyszło jej do głowy, że winko może być, skoro musi, ale za każdą flaszkę zapłaci jej ten małomiasteczko-
wy filozof wierszem. Najpierw – nie potem. Skąd ta chęć katowania Marianka? Raz, że urzekł ją swoimi wywodami, a dwa – postanowiła sprawdzić, ile w jego bajaniu prawdy o pisaniu, a ile blagi na jej i in-
nych użytek.

Podskórnice czuła, że nie był to dobry pomysł, ale póki co, nie wymyśliła nic lepszego. Nic mądrzejszego, co by zmusiło go do ponownego łapania słów i strugania ołówków.

Każdy ma swoją historię i upiększa ją – tak jak potrafi. Przyszło jej na myśl, że wymysły czy prawda pijaczka wcale nie odbiegają od fantasmagorii, które i za nią biegną od lat, i sadowią się na grzbiecie jak niechciany garb.

Spowolniony dzień wywołał od dawna pielęgowaną kruchość – nie mniejszą niż Mariankowa ucieczka od poezji.

Jan. Często wracała do niego w chwilach słabości, a zwłaszcza wtedy, gdy samotność zaczynała dokuczać, jak zbyt głęboko wbita drwina. Puste wieczory bolały i rodziły pragnienie czyjegoś głosu, dotyku, zwykłej obecności drugiego człowieka, który usiadłby z nią na progu domu, wypił herbatę, i po prostu porozmawiałby o niczym albo czymś bardzo istotnym.

To właśnie w takich momentach, prawie materialnej ciszy, układała scenariusze spotkania z Janem, treści rozmów, a nawet wymyślała swoje stroje na tę okazję. W rozmyślaniach była odważna, prawdomówna i jednocześnie na tyle fascynująca, że posuwała się nawet do marzeń o wspólnych porankach. Umiała jednak uśmiercać fantazje i kwitować majaki wyobraźni złośliwym uśmieszkiem rozsądku. W końcu była rozsądną kobietą i wiedziała, że to, co pochowano żywcem, raczej nie nadaje się do cudu wskrzeszenia.

Z tym też postanowiła coś zrobić – w końcu ma ten wyludzony czas, więc i tu może nastąpić zmiana. Po raz pierwszy przywołała twarz Jana w świetle dnia. Pewnie byłby bardzo zdziwiony, gdyby wiedział, że kiedyś tam odebrał sen w nocy, apetyt w dzień i stał się źródłem pierwszego, a może i ostatniego wiersza. Pomyślała o tym wierszu – mimo szczerości – bolał jak poparzony palec. Nieważne, że nie arcydzieło. Nieistotne, że zalatywał nieudolnym naśladownictwem Staffa czy Leśmiana. To nie był wiersz? Zastanowiła się przez chwilę. Możliwe. W to miejsce włożyła zielone jabłko podawane na otwartej dłoni. Zresztą obojętne jej było, w jaki sposób próbowała wówczas wyznać zagubienie oczu i dziwne odrętwienie, gdy pojawił się dziwny, i wtedy nierozpoznawalny skurcz w piersi.

Słabym pocieszeniem było dla niej to, że Jan, podobnie jak ona, żył wspomnieniami. To chyba niezbyt zdrowe dla mężczyzny po pięćdziesiątce – z arytmią serca i postępującymi kłopotami z nadciśnieniem.

Miasteczkowi usłudni donieśli jej, że nie umiał wyrzucić z pamięci dziewczyny, dla której byłby gotów na wszystko. Podświadomie ludziła się, iż Janowe n a w s z y s t k o miało głębię i nie stanowiło pustosłowia – nic na wyrost. Ponoć niczego przez te wszystkie lata nie zapomniał. Tego jak wystawał pod bramą kamienicy, w której mieszkała, i jak ukradkiem, wrzucał do skrzynki listy z wyznaniem miłości. Nigdy nie podpisywał swych adoracji, więc musiał wiedzieć, iż odpowiedzi nie będzie. Z roztargnienia nawet nie zauważył, że tygodniami mylił numer skrzynki i wszystkie gorące porywy kierował do pani Łodzi, która w rezultacie dostała po buzi od zazdrosnego męża.

Szkopuł w tym, że Jan nigdy nie odważył się na szczere wyznanie swej fascynacji. I skąd miała wiedzieć, że tuż obok niej taki gorejący krzak, który powoli spala sam siebie. Nie wiedziała i tyle na ten temat. Wina Jana, bo mógł się, ofiara jedna, zdobyć na wyznanie, sygnał, zaproszenie do miejscowego kina „Syrena”, a potem na ciastka do cukierenki przy białym kościele. Ale nie... Łaził pod kamienicą, skrzynki listowe pomylił i nie zdobył się na odwagę – nawet wtedy, gdy po wieczorze w miejscowej tancbudzie wracała sama do domu. Włókł się, nędza jedna, w przyzwyczajonej odległości za nią i nie przyśpieszył kroku, by dogonić, zagadać. Wystarczyło mu, że bezpiecznie weszła w bramę domu i wkrótce zapaliło się światło w jej pokoiku.

Co jej teraz po tej bezużytecznej wiedzy, skoro pamięta, jak bardzo pragnęła, by ten chłopak, chociaż raz, spojrzał na nią, odezwał się, pozdrowił najmniejszym skinieniem głowy. Bywa, że ludzie marzenia rozmieniają na drobne – w fałszywie pojmowanej skromności i nie potrafią otworzyć ust, by tak zwyczajnie podjąć ryzyko szczerej rozmowy o sobie samych. Bywa. Potem zostają dywagacje: c o b y b y ł o g d y b y.

Pozostawiła obrazy minionego i popatrzyła na Jana dzisiaj. Jak jest? Pracownia zegarmistrzowska odziedziczona po ojcu. Pracy dużo, pieniędzy mało, ale jemu chyba to nie przeszkadza. Spokój, leniwe wieczory, ranki z kubkiem kawy, a w niedzielę wieczorem – mały pokerek z miejscowym proboszczem. Już nawet darował księżułkowi ostatnie kanty karciane.

Fakt. Dobrał się, w ramach głupio pojętego rewanzu, do zegara na kościelnej wieży i doprowadził miasteczko do wrzenia, ale wybrnął z galimatiasu, podrzucając zabrane części na próg plebani. Proboszcz

szała z radości i z miną zbitego psiaka grzecznie poprosił o reanimację czasomierza.

Glupio było Janowi, ale naprawił i zegar, i własne sumienie. Zegarowa wieża wróciła do życia, a niedzielny pokerek stał się znowu przyjemnością. Historię zegarowego zamieszania знаła z ust księdza, który z nieznanych jej przyczyn snuł w konfesjonale takie zwierzenia, jakby to on spowiadał się u niej, a nie ona była jego penitentką.

Zebrała się na nagłą odwagę. Co z tego, że zmarszczki wokół oczu i jakaś cała zszarzała. To ciągle ta sama wysoko podniesiona głowa, zwierność sukienki i stukot obcasów.

Od niepamiętnego czasu nie zwieszeniem głowy i zgarbionymi plecami, ale szczerym uśmiechem witała miasteczko, mieszkańców, lipę koło apteki, wieżę kościoła, a nawet wyleniałego kota wylegującego się na trawie. Chwilę zatrzymała się przy zydelku Frania – wysiadującego w otwartej bramie kamienicy i poczęstowała mężczyznę miętówką. Zawsze nosiła w torebce miętówki. I proszę – pamiętała jeszcze, że pan Franio lubi je bardziej niż ona sama.

Szła prosto do pracowni Jana. Zapomniała o lęku, wieloletnim tchórzostwie i bólach głowy. Prawie z dziecinną radością przeskakiwała kałuże po nocnym deszczu. Już prawie słyszała, jak odważnie wypowiada pierwsze słowa powitania, proponuje kawę w kawiarence „Pod złotym smokiem” i nagle... Ta kartka na drzwiach – wypisana krzywo, i niedbale: z a m k n i ę t e.

– Nic to maleńka. Nic to. Nie trzeba się bać.

Usiadła na pierwszej napotkanej ławce i pierwszy raz od lat rozeźmiała się w głos. Spłoszyła stadko wróbli buszujące na skwerze i wprawiła w zdziwienie kobietę dźwigającą siatki ze sprawunkami. Śmiała się z siebie, z planów kupowania wierszy za wyroby winopodobne, marzeń o Janie, a najbardziej z tej kartki na drzwiach zakładu zegarmistrzowskiego. Wstając z ławki mruknęła rozbawiona:

– Skoro zamknięte, to niech tak zostanie.

Nie trzeba się bać ani niczego zmieniać. Trzeba dać spokój Mariankowi i jego systematycznemu zalewaniu się w trupa, obrazowi Jana karmionego nocnymi wyobrażeniami starzejącej się kobiety, i dziwnym wybrykom umysłu też. Uznała, że osobliwe pomysły przychodzą do głowy, gdy człowiek urwie się z pracy. Najlepszym wyj-

ściem będzie powrót do domu, który zapamiętał babkę Rozalię, a i dla niej stał się azylem.

Dom na skraju miasteczka. Trwał siłą przyzwyczajenia. Każdy znający się na ciesielce dostrzegał oznaki totalnej ruiny, ale stał i tylko złośliwcy twierdzili, że chałupa nie wiedziała, w którą stronę ma się przenieść. Toteż sterczał dzielnie w otoczeniu dzikiego ogrodu, zapewniając przez lata dach nad głową babce Rozalii, a teraz jej. Zaszczepiła się w tym miejscu i podziwiała wszystko – przede wszystkim zapach. Woń ziół, kwiatów i wody. Tak – wody. Tutaj nawet ona pachniała. W tym miejscu natura popłatała wszystko, co wypracowywała od zawsze. Popłatała, bo kto to widział, żeby róże kwitły razem z fiołkami, a gałęzie dojrzewających czereśni drażniły się z owocami gruszy.

Ogród odziedziczony po babce Rozalii szalał każdego lata i podejrzewała, że to chyba ona w jakiś szczególny sposób maczała palce w tym osobliwym spektaklu. Gdy żyła Rozalia, nie dostrzegała w tym nic nadzwyczajnego, a zagadnięta o rozbuchanie roślin, uśmiechała się i kwitowała ciekawość krótkim prychnięciem lub odwracała się od pytacza udając, że znów czegoś nie dosłyszała. Jedno jest pewne – pomiędzy nią a ogrodem istniała jakaś niepojęta więź i intrygowała tak mocno, jak ona sama.

Babka Rozalia do miasteczka nigdy nie zachodziła i gdyby pojawiła się tam któregoś dnia, wywołałaby istną sensację. Niektórzy zastanawiali się, jak można żyć bez kupowania chleba, mleka czy chociażby zwykłej igły albo innej niezbędnej rzeczy. Człowiek tyle w życiu potrzebuje, ale nie ona. Nie widziano jej u lekarza, w kościele, w sklepie ani na targu. Długi czas stanowiła dla miastowych zagadkę i snuto różne domysły, by w końcu znudzony się tematem, zostawić ją w spokoju. Zamilkli nawet ci, którzy podejrzewali, że była szeptuchą. Żadna z jej rad nie wyrządziła nikomu krzywdy, więc ta teoria musiała umrzeć śmiercią naturalną.

To niebywanie starszej pani w kościele męczyło proboszcza i nosił się z zamiarem odwiedzenia niepokornej owieczki, ale odkładał wyprawę za rogatki z miesiąca na miesiąc. Latami udawał, że nie wie, iż to płatki z jej kwiatów sypią dziewczynki w Boże Ciało, a przepyszne róże przed figurą Madonny – też pielęgnowane jej rękami. Udawał raczej przed sobą samym, bo parafianom, a i Przenajświętszej Maryjce pewnie również, było to doskonale wiadome.

Wstydził się tego, ale śmierć babki i pojawienie się nowej lokatorki, którą regularnie widywał w świątyni – przyjął z ulgą.

Nigdy nie zdradziła księszkowi, że Rozalia stanowiła dla niego cichą konkurencję. Jakże często grzeszki sprzedawane później w konfesjonał, jako pierwsza słyszała starsza pani. Znała historie zdrad, występków godnych uwagi prokuratora, opowieści o wyrodnym synach, a nawet ciążach bynajmniej nie niepokalanym poczętych. W przeciwieństwie do księdza nie załatwiała problemów bliźnich kolejną koronką czy litaniami do któregoś ze świętych. Umiała pomóc wyjść z życiowego zakrętu, rzucić radę jak nić wyprowadzającą z matni. Gdyby proboszcz wiedział, dlaczego jego wierni tak żarliwie walą się w piersi przy rozgrzeszeniu, z pewnością byłby srodze zawiedziony. No cóż, babka Rozalia była mądrą kobietą, ale rozgrzeszenie tylko w konfesjonale.

Mogłaby jeszcze prawdą o babci pognać miasteczkowego doktora. Wiele jego skutecznych kuracji miało swoje źródło w ogrodzie babki. Owszem, pacjenci składali mu wizyty i zostawiali pieniądze w aptece za wykupienie recept, ale zazwyczaj po faszerowaniu się cudami farmacji, pokornie dreptali do domku pod miastem i w ruch szły zioła, tak pieczołowicie zbierane przez Rozalię. Wiedziała o nich wszystko – kiedy i jak zbierać, suszyć, warzyć.

Bolała nad dniem, w którym była zbyt daleko, gdy Rozalia o zmierzchu dostrzegła Labbiela wchodzącego w bogactwo ogrodu. Była przekonana, że na pewno nie uległa się jego widoku i nie była zaskoczona, że to właśnie on pojawił się w plątaninie przeżytych dni i zieleni. Na pewno patrzyła skupiona jak stawia stopy na wilgnej trawie i z pewnością zaczęła żegnać żrenicami winorośl, gardenie, a nawet wierzby prostaczki. Pewnie próbowały w tajemnej chwili wyglądać wytwornie. Widziały, jak pobłogosławiła pola czekające na nowe ziarno i lżą wspomniawszy tę, której nie zdążyła ucałować w czoło. Uparcie wierzyła, że Rozalia prowadzona przez nadzorcę wiatrów, starała się dotrzymać mu kroku, a mądry Labbiel uśmiechał się i obiecywał, że nie zgubi jej w jękach Szeolu. Tak. Na pewno właśnie tak było. Ogarnął ją żal, że nie mogła jej wtedy powiedzieć:

– Nic to maleńka. Nic to. Nie trzeba się bać.

Dobrze, że ma ten dom i siłę powracania do Rozalii, w chwilach siedzenia z kubkiem stygnącej herbaty, na progu kobiet zaplątanych

w ogród, w ucieczki i powroty na omszałe deski rodzinnego gniazda. Dla jakiej wietrznej istoty ona sama stanie się Rozalią i oparciem w rozedrganym bycie? To, że stać się tak musi, było pewne jak ten próg – pełen stałości skrzywienia tych, co były i następnych, które nieuchronnie na nim utkwia.

Z rozmyślań i poszarpanych myśli o wczoraj i dzisiaj wyrwało ją trzaśnięcie furtką i szuranie kroków po kamiennej ścieżce. Podniosła głowę i zobaczyła Marianka. Chrapliwym głosem zapytał:

– Dasz piąta? No... na wino. Tak się nie robi. Nie było cię. Nie znika się i nie zostawia człowieka w potrzebie. Jak nie wypiję, napiszę chyba wiersz i to będzie już dno – ostateczne. Dasz tego piąta?

– Dam Marianek. Na dwie flaszki. To będzie zmiana – wypijemy razem. Za nienapisane wiersze, za wilgną spokojność ogrodu Rozalii, wymysły samotnej baby i bóle głowy, które rodzi prowincja.

EWELINA KUŚKA
godło: „akordeon”

wyróżnienie w kategorii prozy



EWELINA KUŚKA – nagradzana i wyróżniana w wielu konkursach literackich, m.in.: „O złote Cygaro Wilhelma” (2004 Kęty), „O Uśmiech św. Tereski” (2004 Rybnik), Jaworznickim Lecie Poetyckim (2005) – I nagroda, Ponadregionalnym Konkursie Literackim im. Romualda III Mikoszewskiego „Ziemia Najbliższa” (2005 Łosice). Dwukrotnie wyróżniona w „Krajobrazach Słowa” (2005, 2006). Autorka tomiku wierszy „Synowie Gai”, zbioru opowiadań gwarowych „Tak tu bywało” oraz zbioru ballad „Skąd się bierom diobły” pisanych gwara śląską.

AUGUST

Remont przeciągał się. Po korytarzach w tę i z powrotem przechadzali się robotnicy w czerwonych i żółtych kaskach, gapili się przez otwarte drzwi na sale, gdzie wycierczeni ciągłymi odgłosami stukania, wiercenia, pilowania i kruszenia murów leżeli pensjonariusze ośrodka. Niektórzy krępowali się kiedy co rusz do okien zaglądali inni robotnicy w przeważnie brązowych kaskach raz po raz coś przyklejając do wewnętrznych parapetów, albo dobijając jakieś gwoździe, szczególnie, że tego dnia panowała biegunka wraz z wymiotami. Pielęgniarki były naprawdę wściekle, gdyż od rana wciąż wzywane były do podkładania basenów pod tyłki i misek pod brody oraz do podawania papieru toaletowego i podcierania tyłków podczas, gdy zarówno ci przemieszczający się po korytarzach, jak i ci pracujący na zewnątrz murarze i malarze kręcili nosami nie mogąc znieść fetoru jaki unosił się wokół i głupkowato uśmiechali się widząc wypięte tu i tam zarówno damskie, jak i męskie zadki. Salowe kleły po cichu nie mogąc już znieść panującego wszędzie brudu roznoszonego na butach robotników, co jeszcze nie było najgorszą rzeczą tego dnia, gdyż wciąż wzywane były do mycia łóżek i podłóg z tego co wymsknęło się spod piżam pacjentów.

– Musimy podnosić nogi jak bociany w brudowniku, by ominąć stojące wokół baseny i miski z rzygami. Nie można nawet dojść do zlewu, by zrobić z tym porządek! – narzekały, a lekarz tylko kiwał bezradnie głową.

Ciągle pytany był o to, czy zapanowała tu jakaś grypa żołądkowa, czy nie jest to czasem zatrucie pokarmowe, albo jeszcze coś gorszego, zakaźnego.

– Nic nie grozi personelowi – zapewniał, ale miał przy tym nietęgą minę, nikogo więc nie przekonał, że jest to tylko niegroźna infekcja.

– Prawdopodobnie to jakiś dziwny zbieg okoliczności, że większość pacjentów w tym samym czasie zapadła na biegunkę, albo rze-

czywiście to jakaś łagodna odmiana grypy – mrugnął jakoś dziwnie jakby chciał dodać: „prawdopodobnie”, jednak nie odezwał się więcej ani słowem. Tymczasem malarze skończyli kolejną salę i trzeba było znów przewozić pacjentów z jednego miejsca na drugie.

– Zabierzemy hrabinę z 24, bo tę trzeba opróżnić i umieścimy ją tymczasowo z Walicką w 33 – zarządziła siostra oddziałowa.

– Tylko nie z Walicką! – jedna z pielęgniarek załapała się za głowę.
– Hrabina jej nie znosi, zresztą sama oddziałowa wie, że ta Walicka ma coś z głową i co rusz chowa gdzieś gówno tak, że potem sala śmierdzi, a znaleźć nie można. A pamięta oddziałowa jak kulki lepiła?

– Jakie znów kulki?! – przełożona była już bardzo zmęczona i zniecierpliwiona tym, co działo się tego dnia wokół.

– No, placki gówniane układała w szufladzie.

– Teraz ma biegunkę, nic nie ulepi! A hrabina niech się nie rządzi, tu nie pałac książęcy, a dom opieki społecznej.

– Dobrze, już dobrze, – machnęła ręką pielęgniarka – ale proszę potem nie mówić, że nie uprzedzałam.

– Acha, a do Augusta dokooptujcie Gackę z 36, sam jest, jeszcze jedno łóżko tam się zmieści. A tak w ogóle, jak się dziś nasz Auguścik czuje?

– Kiepsko, odkąd obcieliśmy mu brodę i paznokcie całkiem się załamał, może lepiej było go zostawić takim, jaki był.

– Lekarz kazał, zresztą to jest szpital, jakby nie było, a takie paznokcie są siedliskiem bakterii.

– Przepraszam... – obie kobiety dopiero teraz zauważyły szczupłą panią ubraną w nienagannie czyste i odprasowane ubranie robocze w białym kasku na głowie.

– A ... pani kierownik – siostra oddziałowa skłoniła uprzejmie głowę w stronę przełożonej robotników. – Pani sobie życzy?

– Och... nic – zmieszała się. – Tylko niechący usłyszałam waszą rozmowę, zresztą salowe też coś mówiły, że tu leży ten słynny August, który chodził w damskich ciuszkach, no... ten pedał. Czy to on?

– Nie wiem czy słynny – oddziałowa spojrzała na nią z niesmakiem. – Dla nas po prostu pacjent. Leży na 34.

Pani kierownik zaczerwieniła się. Teraz dopiero zrozumiała, że popelniła nietakt, nie powinna była nazywać go pedałem, ale nie mogła się opanować. Dobrze pamiętała jak ojciec wiele razy opowiadał o Augustcie, jak to pracował na kopalni. Do pracy przychodził w kolorowych damskich bluzkach z falbankami, minispódniczkach, a do tego ta broda. Czemu jej nie zgolił? W tym małym, zapyziałym miasteczku, które dopiero w ostatnich latach nieco się rozrosło był kimś wyjątkowym, kimś, kogo znał każdy od dziecka do staruszka. Nic tak nie działało na nerwy miejscowych dewotek, ani nie potrafiło tak rozśmieszyć małych wracających ze szkoły jak spotkanie z nim na ulicy. Ludzie różnie go nazywali, ale przeważnie wyzywano go od zboczeńców i pedałów. Takiego też zapamiętała pani kierownik, faceta z czarną brodą w spódnicy i na szpilkach, wyglądającego komicznie, dlatego też bardzo zdziwiła się kiedy zajrzała na salę 34.

– Szukam pana Augusta – zwróciła się do przeraźliwie chudego, siwego jak gołąb staruszka uczesanego gładko na przedziałek, wiedziała że to musi być on, na sali nie ma przecież nikogo innego, ale sama nawet nie wiedząc czemu chciała potwierdzenia.

– A bo co? – wychrapał obojętnym głosem poprawiając kościstą dłonią plastikową rurkę wychodzącą mu z nosa. Widać, że był bardzo osłabiony.

– Chciałam tylko powiedzieć, że za chwilę dołożą panu towarzysza.

– Wszystko mi jedno – wyszeptał tak cicho, że ledwo go dosłyszała.

– To mężczyzna – dodała wiedząc, że plecie bez sensu.

– Wszystko jedno – pokiwał bezradnie głową.

– Bo pan nie lubi kobiet, prawda? – nadal pragnęła potwierdzenia, że jest pedałem.

– Nikogo nie lubię – jęknął.

Domyśliła się, że za chwilę pielęgniarki przywiozą tego drugiego pacjenta. Jeśli zobaczą, że go wypytuje pewnie powiedzą oddziałowej: „Ta kierownik była na tyle bezczelna, że poleciała na salę obejrzeć sobie tego starego pedała”.

Odwróciła się i wyszła z sali, żeby nie być podejrzaną o chamstwo. I miała rację, bo po krótkiej chwili dwie siostry przywiozły na łóżku starego Gackę.

– Co tam? – zagadnął, kiedy ułożywszy go jako tako kobiety pobiegły ile sił do kuchenki oddziałowej. Jadąc tu widziały jak dietetyczka kończy rozdawanie obiadu pacjentom, przy panującej biegunce z pewnością zostanie sporo mięsa, chciały więc uprzedzić koleżanki z drugiego odcinka.

– Nic – nie trudno było dostrzec, że był niezadowolony z przymusowego towarzystwa.

– Pytam co słyhać – tamten nie dał zbić się z tropu.

– Mam sraczkę – odburknął.

– Jak większość.

– To jedyna rzecz, którą mam jak większość.

– To chyba dobrze być oryginalnym – stary Gacka poruszył ręką.

Była to jedna z niewielu części ciała, która jak dotąd nie odmówiła mu posłuszeństwa.

– Nikt tak nie uważa! – syknął ze złością. – Właściwie nigdy nie zdarzało mi się spotkać kogoś kto w pełni akceptowałby moją odmienność, zawsze byłem jak cyrkowe zwierzę, wzbudzałem tylko ciekawość. Ty też pewnie przyszedłeś obejrzeć sobie dziwoląga.

– Niestety, od dawna nie jestem w stanie iść obejrzeć niczego – Gacka zaśmiał się krótko, ochryple. – Nie czuję nawet własnego tyłka i prawdę powiedziawszy sam nie wiem czy przed chwilą zrobiło się tak miękko bo się zesrałem, czy po prostu dlatego, że się uśmiełem z ciebie.

– No, tak – August podniósł głowę, w końcu usiadł na łóżku, by lepiej przyjrzeć się swojemu towarzyszowi.

Stary leżał nieruchomo, był chudy, ale jakiś opuchnięty, dlatego sprawiał wrażenie dużego.

– A może, coś ci podać? – spytał się w końcu sam sobie się dziwiąc. Miał nawet wrażenie jakby głos sam wyszedł z niego nie pytając o pozwolenie.

– Mógłbyś poprawić mi poduszkę, te baby położyły mnie na odpiardol. Gdybyś podniósł mi wyżej głowę, byłoby mi wygodniej.

– Od kilku dni wcale nie wstawałem z łóżka – zawahał się.

– Też jesteś sparaliżowany?

- Nie.
- Więc... co?
- Jestem uparty.
- Uparty?
- Chcę zrobić na złość.
- Komu?
- Komu? – powtórzył pytanie.

Właściwie komu do cholery jasnej chciał zrobić na złość?

– Chyba samemu sobie – wyszeptał jednocześnie wstając niepewnie na własnych nogach. Zbliżył się do łóżka Gacki sam dziwiąc się, że tak dobrze mu idzie.

– Od dawna tu jesteś? – zagadnął nie chcąc wracać do poprzedniego tematu.

- Od sześciu lat.
- Sześć lat? – zdziwił się. – Nigdy cię nie widziałem.
- Bo leżałem.
- Przez cały czas?
- Tak, na 36.

– Właściwie dopiero teraz uświadomił sobie, że nigdy nie zaglądał na 36, przez całe cztery lata odkąd przebywa w tym zakładzie. Wydawało mu się, że zna tu wszystkich, a taki Gacka leżał przez cały czas na 36 i nic o nim nie wiedział.

- Czemu tu cię przenieśli?
- Remontują moją salę... ale tam już nie wrócę – dodał po chwili.
- Dlaczego?
- Zostanę tu do końca.
- Do jakiego końca? – nie wiedział o co mu chodzi.

Jeszcze raz poprawił poduszkę, a nawet pomacał pampersa. Rzeczywiście był jakiś miękki, choć smrodu właściwie już nie czuł. Zdawało się, że cały oddział dziś walił jednakowo, w dodatku były przeciągi i wszystko rozchodziło się zarówno po salach jak i po korytarzu. Nie bardzo widząc jak jeszcze pomóc Gacce wrócił na swoje łóżko.

- Nie przeszkadza ci, że cię dotykam, ja... odmieniec?

– Daj spokój – machnął ręką stary. – A, co... miałbyś ochotę? – zaśmiał się znów ochryple – Z takim trupem jak ja?! – teraz śmiał się jak opętany, aż napuchnięty, wysadzony pępek drgał mu jak w napadzie jakiegoś szału, a wielkie jak groch łzy spływały mu po policzkach. – Teraz naprawdę zesrałem się i zeszcząłem ze śmiechu, przez ciebie, bracie – głos mu się trząsł, a sztuczna szczeka o mało co nie wypadła z ust.

August też śmiał się do bólu, aż miał wrażenie, że zaraz wypadną mu z tego śmiechu wszystkie wnętrzności na zewnątrz.

– Słuchaj, bracie – Gacka spowaźniał nagle. – Lepiej ruszaj się, chodź, póki możesz.

– Tak, może masz rację – usiadł na łóżku zwieszając w dół dwie chude, długie nogi.

– Nie na darmo przywieźli mnie tutaj – dodał stary.

Tym razem jednak August pomyślał, że do reszty zwariował.

– Jak to? Chyba nie chcesz powiedzieć, że chciałeś, żeby cię tu przywieźli. – Nagle struchlał, podciągnął nogi, skuli się niczym mały chłopiec. – Chyba nie jesteś jakimś zasranym kaznodzieją, nie jesteś tu, by prawić mi kazania?

– Że co? W życiu nie byłem na żadnym kazaniu.

Odetchnął z ulgą.

– Więc, co?

– Nic. Przywieźli mnie z powodu remontu, mówiłem przecież, traf chciał, że akurat będę umierać.

– Że co? – znów pomyślał, że stary jest szalony – Skąd możesz to wiedzieć?

– Leżę tyle lat, to wiem.

–No... nie jestem pewien.

– Ja też nie jestem pewien, ale tak na wszelki wypadek powiem ci, że niedługo pójde tam.

– Gdzie?

– A skąd mam do kurwy nędzy wiedzieć?! Tam!

– Acha.

– No, jeśli tam pójde, to będę tam czekał na ciebie i będzie ci potem łatwiej, rozumiesz?

– Nigdy nikt na mnie nie czekał, dla wszystkich byłem...

– Wiem, odmieńcem, ale ja będę czekać, bo kto do cholery poprawi mi tam poduszkę, albo sprawdzi czy się zesrałem.

– Tam będziesz sprawny.

– Skąd wiesz?

– Nie wiem, tak myślę.

– Jeśli będę sprawny, to też poczekam i pójdziemy do lokalu.

– Myślisz, że tam są lokale?! – obruszył się.

– Może są.

– Może. A co będzie jak podejdą do mnie i będą się gapić? Nie będzie ci głupio pokazywać się ze mną?

– Wpierdolę im!

– Co?

– Po prostu, wpierdolę im, a ty mi pomożesz.

– Jestem za delikatny.

– Nie jesteś, skoro macałeś mojego posranego pampersa.

– No, tak.

– Znów zaczęli się śmiać tak głośno, aż zaciekawione pielęgniarki przyszły zajrzeć co to się dzieje u Augusta na sali, a jeden robotnik to nawet przestał przez chwilę wiercić, położył swoje narzędzia i zajrzał przez okno ciekaw, kto to ma taki dobry humor, kiedy słońce praży, a tu pracować trzeba jeszcze przez następne cztery godziny.

MICHAŁ MUROWANIECKI
godło: „Rugby na lodzie”

Nagroda Marszałka
Województwa Opolskiego



MICHAŁ MUROWANIECKI – autor książki poetyckiej „pun tum” (Łódź 2008) za którą otrzymał Nagrodę Literacką im. Stachy Zawiszaneki „Dżonka 2008”. Redaktor kwartalnika „Arterie”. Publikował m.in. w: „Odrze”, „Tyglu Kultury”, „Więzi”, „Opcjach”, „Kresach” i „Wyspie”. Mieszka w Łodzi. Laureat kilku ogólnopolskich konkursów poetyckich, m.in.: im. Haliny Poświatowskiej, im. Kazimierza Ratonia, „Połowy Poetyckie 2007”. W roku 2008 otrzymał II nagrodę w konkursie „Krajobrazy Słowa”.

BUDOWLANI

Budo, bo trzeba ustalić zasady. Włani
w ciężką formę, staramy się opracować
ruchy: podania w tył i przesunięcia.

To jak rugby na lodzie. Kto będzie łącznikiem
młyna, a kto parafii? Czy ten, kto znajdzie
wyrwę, wykona przyłożenie? Jak długo

można przebijać się przez jedną metaforę?
Cokolwiek teraz powiem, śmierć
ma to już dawno rozpisane na fiskkach.

Chciałbym milczeć jak Bill Murray.
Najlepiej na tarasie. Sączyć bourbon
nad *Gorin-no sho* i oglądać koniec

dnia. Budzik. Wsteczny. Zima, że zamarzają gile.
Brodaty anioł w kufajce przemierza pługiem
mózg i osiedla, usypuje brudne zasy.

Oglądam stare slajdy. Czasami słyszę,
jak płyną przeze mnie umarli i witaminy.
Szumią: *žen-szeń, žen się*.

COMA CAFÉ (CZYNNE CAŁĄ DOBĘ)

Więc więcej złota i nowe nazwisko. Już nic się nie zatnie,
żadna płyta w gramofonie ani kogucia pieśń. Pokaż mi
skraj, a ja zdejmę biel z sukni. Rozejrzyj się, wszędzie
filizanki, pełne salaterki i posłany sufit. Nocleg w bukietach

albo sen na tratwie. Nigdy nie wejdiesz dwa razy
w tę samą kobietę. Ulotność zapachów. Giorgio spotyka Céline,
a później idą razem do łóżka. Mamy własną historię
wpisaną w prześcieradło, palimpsest do rozszyfrowania

i wynajęte M – ruchomy inicjał? Tradycyjne rekwizyty,
obiektyw pielęgnuje najdrobniejsze ruchy. Melodia uwolniona
z łańcucha zostaje w tkankach. Ta ciepła rzeka we wnętrzu
snu woła: *Wpuść mnie do ujścia, przejmij mnie, spień.*

OD KUCHNI

Ucieczka polega na odkrywaniu pierwiastków,
składowych koktajlu. Mam abonament
na amen, ale coś przerywa połączenia. Kończę

studia braku. Ostatnim razem, gdy byłem w tobie,
śmialiśmy się, że stoimy gdzieś obok.
Trawiło nas wino, krew miała posmak nalewki.

Zaledwie wczoraj owijałem cię w koc jak prezent
na później, a teraz wychodzę i biorę prysznic
w koniczynie. Z pracy wracam cały w banałach.

Nikt tu nie mówi po polsku, w pobliżu nie mieszka
żaden znajomy, więc dziś już się nie odezwę.
Mam trzy sypialnie, a w nich puste łóżka.

Zaczynam dostrzegać różne rzeczy – w słowie whisky
ukrywa się niebo. Dużo zmywam. W uroczystym nastroju
gotuję zupę z papierka i mówię do niej z czułością.

Z NIEBA SPADAJĄ PRZEPALONE ŻARÓWKI

Finlandia prowadzi do końca. Rumia
to przystań dla tych, którzy wchłonęli
za dużo morza – ibuprom zatoki, zakola,
na czole żyły wodne, wewnątrz same wyrwy.

Ostatnio tylko śpię, śpiewam fałszem,
jąkam się do lustra. Żyję jakbym rzygał
czasem. Trzęsą się ręce, od dziecka
zgaga, balon wypełniony sodą i chrzanem.

Niekiedy bywam w kobiecie,
mam wtedy wrażenie, że płyną przeze mnie
śnięte kijanki. Zginęły już wszystkie
zwierzęta, które hodowałem.

Ktoś, kto robił mi rentgen, zapomniał dodać,
że piasek boli. Wieczna no-spa plus drinki
z nut i melisy. Przychodzą koledzy z nadwagą
bluesa. Wypalamy kręgi. Przegrywamy wszystko.

SUTRA DLA YUSEFA

*[...] jeśli czujesz, jak robaki pełzną
przez podziemną ścieżkę
pod naszymi krokami, wtedy,
Kochanie, tak, czujesz rytm.*

Yusef Komunyakaa

Jazz i shisha, seks i książki. Wszystkie sondy, echo-krażki,
winyłowe trzaski i drapanie draski. Powstałem z dźwięków
wylutych przez ojca, więc oddycham też dźwiękiem.
Jestem wypadkową frykcyjnego rytmu i arytmii serca.
Každy gong to medytacja. Mieszkam tu na tyle długo,
by usłyszeć, jak pulsuje tynk, gdy odkleja się od ściany dworca.
Setki nut a jedna mantra: jestem rozgrzaną ulicą,
jestem czarnym plastrem miasta, filtrem tego zgiełku.
Odnajdę trasę szybkiego ruchu w stronę ducha
(to dobry obraz na dobranoc). Kochanie, zostanmy w domu.
Klamki zatrzasną śmierć, której nie oddam nikomu.

RAFAŁ GAWIN
godło: „Orzeł biały”



I nagroda w kategorii poezji

RAFAŁ GAWIN – korektor kwartalnika literacko-artystycznego „Arterie”. Wydał arkusz „Przymiarki”. Publikował w antologii „Na grani” (Łódź 2008) oraz m.in. w: „Gazecie Wyborczej”, „Tyglu Kultury”, „Arteriach”, „Redzie”, „Cegle”, „Opcjach”, „Odrze”. Nagradzany i wyróżniany w konkursach. Absolwent finansów i bankowości na Uniwersytecie Łódzkim. Mieszka w Justynowie i Łodzi. W roku 2008 otrzymał Nagrodę Prezydenta Miasta Kędzierzyna-Koźła w XV edycji „Krajobrazów Słowa”.

KARTA DO GŁOSOWANIA

Pokaż mi, co mam kupić i dlaczego
już to kupiłem
I wyrzuciłem.

Postaw krzyżyk i otwórz
nowy kościół.

Są jeszcze opcje w wersji rozszerzonej,
ale do tego trzeba mieć cenę
strachu. Drogi przecinają się regularnie.
Mylą tropy?

Ktoś wygrał i zajmie
twoje miejsce. Czy mam prawo
odpowiadać tylko za siebie?

KOCIA KOŁYSKA. PODRAŻNIENIA

Pierwsze słowo pochodzi od dziecka.
Zanim to sobie uzasadnisz,
spróbuj je powtórzyć.

Pierwsze słowo zdążyło już
dojrzeć, umrzeć i zmartwychwstać, gdy wciąż
potrzebne są religie, didaskalia na fiszkach
w pustej księdze. W notesie? Za mało sypiasz,
za dużo sypiesz.

Pustynia składa się z samych znaków zapytania.
Gdy znajdziesz kropkę bez węża,
masz prawo skończyć.

Pustynia to zbiór piaskownic, a może nawet
kuwet puszczonej samopas kotów, zmięczonych
zdań o konsystencji sierści. Oczy zawsze znikają
ostatnie.

SAKRAMENTALNE TAK. PIERWSZY WIERSZ DLA...

Jesteśmy z sekty Jezusa,
większościowa mniejszość, sól
z ziemi jałowej, która domaga się
korzeni. Nie znamy prostych
rozwiązań, choć mówimy:
tak tak, nie nie, jak chce
góra. Lecimy do światła,
choć nie wiemy, z czego
wynika. Chodzimy po wodzie
i przeziębiamy się, nawracamy
kilka razy w życiu. Uprawiamy ziemię
i seks przedmałżeński, rośniemy
do pewnego poziomu, by sumować

różnice. Cumować brzegi i zderzać
bieguny. Udawać panowanie
nad wypadkami – mieć pełne sieci
zdechłych ryb. Wciąż za młodzi,
by się przeciwstawić, za starzy,
by dać się ukrzyżować. Akurat, by mieć
pewność, że lądowanie na księżycu
nie było przypadkowe, że jesteśmy
częścią układu, że bez grzechu
nie mielibyśmy odwagi zasłonić
oczu i okien. Zakopać się w ziemi,
gdy już będzie po wszystkim.
Przed wszystkim?

URLOP

Po godzinach jestem poważnym człowiekiem.
Nie boję się konfrontacji. Śmiech nie ma granic,
dopóki nikt go nie stłumi wbrew woli.

Chciałbym mieć córkę, która mogłaby to narysować.
Zrozumiałe obrazy bolą inaczej. Adresat czuje się
wyróżniony i będzie to wykorzystywał

aż do całkowitego pogrążenia nadawcy.
Korespondencja seryjna jak seryjne morderstwa?
Narodziny jak ciąg dalszy telenoweli, impulsy

nerwowe to odbicie zużytej energii. Szkoda
czasów, które muszą minąć, w których mówiło się
prościej bez skrępowania. Jak do dziecka

na wakacjach, kiedy straciło coś ważnego,
oddając się temu bez reszty. Czy już od początku
margines nie był bezpieczny? Byłem przypisem

odciętym od źródła, notatką niechlujnego czytelnika.
Byłem zakładnikiem obcych książek i języków
znanych ze złudnie kojącego brzmienia. Na ile mówię

przez zaciśnięte zęby, na ile muszę spisywać
wygody i podboje, zamykać usta i rany
ofiarom niemodnego poczucia humoru? Córką

zaczęłaby od środka. Noszę ją w sobie
jak obietnicę ucieczki, szlachetny ciężar i odpowiedź:
w niej odzyskam lekkość.

OWOCE MORZA: PIASEK

*Nieważne, skąd pochodzisz,
tylko dokąd się wybierasz.*

Prosta filozofia, proste obrazowanie:
rozdzielamy kolory, kolorujemy różnorodność.

Bierzemy pod uwagę kilka szczegółów
i już możemy się czepiać w nieskończoność.

Dać się zrozumieć? Boli tylko ten brak,
który nie pozostawia śladów. Jak bicie piany?

Ciasto jest świeże, więc ugniatamy
z każdej strony, szukamy rodzynek

i kremu. Golimy frajerki, bujną wyobraźnię
dusimy jak ogrodowego węża – nie zdąży

nas zawstydzić. Dalej po staremu:
przez płot i jak na smyczy i od drzewa do drzewa –

owoce nie mogą się marnować. W końcu
ktoś odwraca klepsydę i jesteśmy

w tym samym miejscu, pełni smaków
i ziemi.

WOJCIECH ROSZKOWSKI
godło: „ametyst”



II nagroda w kategorii poezji

WOJCIECH ROSZKOWSKI – laureat wielu nagród i wyróżnień w konkursach literackich, m.in.: im. Mieczysława Stryjewskiego, im. Władysława Broniewskiego, im. Witolda Gombrowicza, im. Jana Śpiewaka, „Malowanie Słowem”, „Połowy Poetyckie”, „O Ludzką Twarz Człowieka”, „O Złotą Wieżę Piastowską”. W jego dorobku literackim znajduje się tomik wierszy „Odcienie” oraz książki „Tykocin – miasteczko bajeczka”, „Narwiański Park Narodowy”.

WŁÓŻ DO KOSZYKA

*[...] bo nic się nie zdarza za sprawą poezji; ona trwa
w dolinie własnych dzieł.*

Wystan Hugh Auden

one nigdy nie były podobne do ciebie.
światła miasta, migawki z ulicy, tramwaje bez
specjalnego nadzoru, gdzie piję wódkę i podaję

ci z ust do ust. a potem zostawiam książki, aby
przesiakały bijącym z siedzeń zapachem dziewczyn,
w których nie stanę się hostią ani chociażby

lepiącą się landrynką z papierowej torebki od
babci Ewy. wtedy napis *cukier* przebarwiały maliny
z chruśniaka przy lesie. wtedy miałem inne kobiety

i inne wiersze w bożych śladach na polnych miedzach,
pilnowanych przez madonny z przydrożnych kapliczek.

LIANY

znów się rozpada, żłobiąc tygodniami blaszki liści. nasiąkniemy
sobą, a jednak wysuniesz się z objęć, wtopisz w poszycie. zostanie
wypatrywać, przez prześwity w konarach drzew, anielic
wilgotnych
lasów deszczowych – albo indiańskich księżniczek z ekranu małej
sali kinowej gdzieś na dalekiej północy.

niewiele można zrobić, by uregulować cykle. najlepiej przeciąć
wstęgę Möbiusa, zgubić klucze, pozacierać daty na pocztówkach
z podróży, a rzeka popłynie rwącym nurtem w deltę, znajdując
nowe smagłe ramiona i żyzne mady, gdzie wreszcie będą mogły
wykiełkować nasiona.

mimo wszystko jest mi duszno, chociaż to ty wybiegasz
na czwarte
piętro hotelu, rozsypując na schodach drobne przedmioty
z torebki.

ostry zapach potu zmieszany z *Christian Dior Dolce Vita*.
nasiąkamy
sobą od początku sierpnia.

KWIATY

(Norwidowi)

I. kancelaria parafialna w Dąbrówce

są z tyłu, za weneckimi lustrami. właściwie nas nie znają,
nigdy nie zobaczą. człowiek w koloratce częstuje kruchymi
ciastkami. ma zimny dotyk dłoni. – wieczory w maju są chłodne
– uśmiecha się lekko – zaczynamy się w obcych, zakurzonych
księgach, w rzędach drobnych znaków na pożółkłych stronach.

II. za nami prowincja

przy autobusie znalazłem monetę. – ilu cię obracało, ilu miało
w rękach? podajesz mi kanapkę z tuńczykiem, na kolejnym
kilometrze wtapiam się w oparcie fotela. – Mercedes, czy
mógłbym panią pocałować? zresztą nieważne. po obu stronach pola
widzenia szarówka. wolę barwy miasta po zmroku, ciepło witryn
sklepowych.

III. tak daleko

dlatego chłonę je na dworcu. i dlatego mi znikasz, wskakujesz pod
rozpadający się domek z kart. gonię za tobą ścieżkami przez park
po wydeptanych śladach, aż po dni przedostatnie. przewracam damy
karo, pikując w stopy porzuconych w nieładzie trefnych gadżetów.
wreszcie jest: koszyczek z wonnymi płatkami.

*

jesteś ty. – nie sięgaj po nie, proszę. są czarne, czarne!

– powtarzam
chichocząc, jakby od tego zależeć miał wszechświat, jakby
dzięki temu
mogły przyrosnąć wyrwane przed chwilą skrzydła majowego
chrabąszcza.

teraz rozumiem, czym są zwierciadła, skąd znam przedmieście Ivry
i ludzi ubranych w dziewiętnastowieczne stroje. a jeśli przejdą?

są w z tyłu, przed weneckimi lustrami.

BRUDOWNIK

z tarasu, przez kratę, widać wieżę ciśnień z pustym
bocianim gniazdem. zaczyna się jesień, zimny wiatr od rzeki.

Piotrek czeka na transport. leży obok, w brudowniku, przykryty
obsikany szpitalnym prześcieradłem, niczym żaglem
obwisłym na wystających kościach. w czterech ścianach flauta.

to dobrze, że nie wczoraj. zdążyłem wygrać w *oko*. teraz przyda się
bluza, paczka papierosów. jeszcze tylko do jutra, nic tu po mnie.

/wczoraj milczał z żoną. ciężko oddychając, siedział skulony przy
stoliku z dziurawą ceratą w pomarańcze. blat przenosił drgania na
butelkę typu *pet*, żółta oranżada podskakiwała, wypełzając za szyjkę,
niemal na ścianę z krzywo zawieszoną reprodukcją *Słoneczników*/.

żartuję z pielęgniarką. śliczna. boi się sama wejść do środka, odłożyć
pościel do prania. to dobrze, coś za coś, pójdziemy na spacer i kawę.

alejka. zimny wiatr od rzeki. część liści, już przebarwiona,
kołysze się w kałużach. większość wciąż na drzewach
drży i szeleści. jak ona, gdy wtula kasztanowe loki w mój nowy polar.

przynajmniej nie jest duszno, zaczyna się jesień.

W BIAŁYMSTOKU, W KAŻDYM INNYM MIEŚCIE

as time goes by

przedwiośnie, na gałęziach topnieją zegary. pierwsze zagubione
klucze
i pary w alejkach. nim spadną krople, lepiej zaszyć się w środku,
za szybą, drzwiami z podwójną gerdą.

to nie *my*, zdaję sobie sprawę. siedzimy w kawiarence.
moja blond Izolda, Marek i ja, przy różnych stolikach.
kelnerka zbiera szklanki. trzeba czekać, na razie są chusteczki
złożone
w trójkąt i zamknięta karta.

czasem wspiera ściana z tv. można zmieniać kanały, choć nic
nie znaczy
jakaś żyrafa Salvadora czy nawet wszystkie wieże, we mnie płonie
mocniej. kojarzę tę piosenkę – Humphrey Bogart zostanie
na lotnisku; *zawsze będziemy mieli Paryż*.

a my nasze kasztany, apaszki, zabrane z gniazdz pisklęta.

MIRKA SZYCHOWIAK
godło: „ale meksyk”



III nagroda w kategorii poezji

MIRKA SZYCHOWIAK – finalistka Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Jacka Biereżina (I i II nagroda w dwóch kolejnych edycjach Turnieju Jednego Wiersza). Publikacje w „Obrzeżach”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Undergrunt”, „Cegle”, w opolskim kwartalniku kulturalnym „Prowincja”. Laureatka II nagrody w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Cypriana Kamila Norwida, I nagrody w Ogólnopolskim Turnieju Jednego Wiersza w Świdnicy, Brzegu. We wrześniu 2005 roku ukazał się jej debiutancki tomik „Człap story”, wyróżniony w konkursie organizowanym przez Europejskie Centrum Kultury. Mieszka w Księżycach pod Wrocławiem.

TO WYSTARCZY

Nareszcie masz spokój.
Docierają tylko te dźwięki,
które nie kaleczą.
Gorączka zagroziła tkankom,
ale każda może się odrodzić.

Nie było dobrze.

Ostre zapalenie dróg życiowych
nie doczekało się rozpoznania.
Ale nie siedziałaś beczynnie.
Z tego, co drążyło tunel
w głowie – wyhodowałaś odtrutkę.

Daję ci za nią małego nobla.

Przyprowadzę tu innych,
tych nieposkręcanych, ogłuszonych,
co chrupią tabletki na spokój jak dropsy.
Opowiedz im siebie. To wystarczy.

CONCERTO D'HIVER

*Już nie dzikie koty, już małe stado
– schodzą coraz niżej oswajać się*

Słońce kaleczy zaśnieżone wzgórza, złazi
im skóra. Z rozmiękłych szczelin wyszła
do światła – zbiegnie kamiennym zboczem,
górskie rzeki puści wolno, niech płyną.

I będzie koncert spuszczonej z łańcucha
– górne partie nie rozsada szczytów, a ty,
z dala od krawędzi zsuniesz się do niej
i będziesz jak prąd, jak ogień palący, może
nawet popłynie krew – kiedy jej dotkniesz.

Nie musisz kochać od zaraz, to się zdarza.
Tylko nic nie mów, tylko patrz, jak się toczy.

PILNE

Jest u siebie w zamkniętym pokoju. Światło
zgaszone i cisza – gra w nieobecność; odchodzi
nie ruszając się z miejsca – nic tu po mnie.

Dzisiaj lato wróciło na jeden dzień; zabiorę się
z nim bez świadków, o zmroku. Pójdziemy
brzegiem rzeki i każdy, kto zechce, może z nami
pójść. Będzie jeszcze cieplej i nikt nie wystygnie.

Czekam, aż nadejdzie wieczór i nucę piosenkę.
Pierwszy raz ją słyszę. Jakaś śmieszna jest i nie ma
refrenu. W końcu coś się nie powtarza.

Uczę się drogi na pamięć; ciemno już.

POGŁOS

Gdzieś się posypałam,
jakby urwał mi się jakiś dinks.
Na każdym kroku całą siebie słyszę:
wymieszane nuty, połamane kości.

Do środka wejść, z rusztowania
zeber pilnować rytmu i być naocznym
świadkiem wszystkich pęknięć.
Po tej stronie jestem słaba, bo ślepa;
w każdym lustrze czuję się inaczej.

Krew we mnie, a ja w niej zamieszkam.
Głowa będzie posłuszna, a serce
spokojniejsze, gdy się ułożę obok;
będziemy razem płynąć i oddychać.

MIĘDZYZIEMIE

Mam dziś wychodne, spotkam się z ulicami,
chętnie za kimś się obejrzę. Zaciekawić się,
zaczepić obcego – może wyda się znajomy?

Wychodzę z jamy, szok słoneczny i kolory
biją po oczach. Podoba mi się cały ten
pierdolnik, ortaliony, odbłaski, trajkotanie
miasta. Nikogo nie znam i jest jak u siebie.

Liczę wszystko, czego jest więcej, niż jeden.
Nie wiedziałam, że aż tyle tego jest.

Nie byłam jeszcze w wielu miejscach,
ale jak tam trafić, kogo zapytać?
Na szczęście są ulice i psy bez kagańców.
Każde z nas ma swoje imię i swój wdech.

JANUSZ RADWAŃSKI
godło: „Słownik chazarski”

wyróżnienie w kategorii poezji



JANUSZ RADWAŃSKI – polonista, dziennikarz tygodnika „Korso Regionalne”. Mieszka w Kolbuszowej Górnej. Jest laureatem kilku konkursów poetyckich, m.in.: Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Rainera Marii Rilkego w Sopocie.

RIDDIM

to jest taki rytm, tymczasowo się go tańczy,
ale tym czasem tymczasem nie przejmuj się wcale.
stukot wzbiera, narasta i kolejne fale tętentu
niosą cię w krzyk, mocny akcent, z którym
będzie mówić już zawsze.

to jest taki rytm, jest w nim drżenie powietrza
w ściśniętych krtaniach, jest drganie mięśni,
gdy oczy przesłania ciężka mgła.
tym drganiem, drżeniem nie przejmuj się na razie,
na razie się nie skończy, gdy w końcu się przejmiesz.

to jest taki rytm, urywany w pół taktu,
ale tego nietaktu nie bierz pod uwagę.
gdy wybrzmie, wstrzymaj oddech, zbierz się na odwagę
i posłuchaj. to jest taki rytm, co do szpiku przenika.
usłyszysz, jak w rytmie bezszelestnie znikam.

USPOSOBIENIE OBRONNE

A.J.

Kotka urodziła na strychu. Chodzę do niej, żeby przyzwyczajać
młode do człowieka. Bura staje między mną a nimi, czeka,
ale ja już wiem, że ani kroku dalej nie pozwoli mi przejść.
Chociaż, co ona tam może? Stać między niebezpieczeństwem
a dzieckiem – ładne atawizmy nas łączą w rzeczpospolitą ssaczą,
namiastkę ojczyzny, w której głupia tarcza ciała ma bronić

od wszelkich zagrożeń, a przecież nie ma pocisku, który
nie dałby jej rady. Ale raz na milion mały, odwrócony wykrzyknik
wstrzyma na chwilę czołgową kolumnę. Bezużyteczne, choć
niezbędne
„nie” zmiażdżą dławiąc się paszczach gady wyszczerzonych łuf.
Tyle mamy: kielki, pazurki, dumne pogardy rzucone w fale frazy.
Drobniutki piasek po ziarnku sypany w zębate układy.
Cała broń, jaką wygrywają matki, na to, że nie mają szans
niepomne.

MAJEROVKY. GABRETA.

zanim przyjdiesz, zawrę pokój za powiekami.
chcę złapać tę kościelną ciszę, która jest. zanim.
amen, które powiemy w skrzypieniach i szelestach
każe ciszy zagadać, zaraz potem przestać.

zanim przyjdiesz, będę czujnym zwierzęciem.
stężoną uwagą. w powietrzu wysokie napięcie,
we mnie przez chwilę mądrość sarny.
w ucieczce żaden ruch nie pójdzie na marne.

zanim przyjdiesz, będę miał w oczach wilgoć sprzed burzy
zaraz zepnę kłanrami bieguny, do tego przecież służę.
pokój. zaciemnienie. nic przestaje być wrogiem.
coda: szmer wody, ciche skrzypienie podłogi.

KINDER

wagary, wagary to uczniów filary – śpiewają młodzi zbuntowani
w modnych ciuchach. ostatni raz na wagarach mogłem być
siedem lat temu.
więcej grzechów jeszcze pamiętam. teraz po prostu piszę
papiórek,
pani Marlena robi ptaszka, pani Sabina przybija pieczętkę,
papież daje mi odpust, cesarz mówi jupikajej madafaka i jadę.
zaprawdę powiadam wam, smerf maruda też był kiedyś punkiem.

najlepiej się śpiewa z wędzidłem w pysku. muzyka wlewa się
w ludzki kadłub, można spokojnie tonąć. parę kilometrów
w głąb jest dno, serce bierze w siebie tyle krwi i dźwięków,
że każdy kolejny je rozerwie. nie ma kielzna, wszystko,
co zrobisz zależy tylko od ciebie. i właśnie teraz wyciągniesz
ręce i pójdziesz tam, gdzie nie chcesz. gdy rozbijesz dźwiękiem
czekoladowe jajko, będzie niespodzianka. małe części
mogą zostać połknięte lub wchłonięte, istnieje ryzyko zadławienia.

Mt 2, 13–14

tę ucieczkę będzie powtarzał jeszcze wiele razy
zmieniając tylko szczegóły, czasem śnić mu się będzie
rżenie koni i zgrzyt metalu, czasem szum silników
i gwiazd powietrza w lotkach. najważniejsze będzie jednak
zawsze takie samo – niejasny cel przed sobą, konkretny
koszmar za sobą, brak wody do wyprania pieluch i nocne zimno.
jeszcze o tym nie wie, ale właśnie ustanawia najważniejszy
sakrament –
kołysanie dziecka tak, by nie wiedziało, że ucieka.

ANDRZEJ RATAJCZAK
godło: „bigbit”

wyróżnienie drukiem



ANDRZEJ RATAJCZAK – polonista, zadebiutował w prasie literackiej w 2001 roku w „Nowej Okolicy Poetów” (nr 8), w wydawnictwie zwanym – antologii „Dziesięć tysięcy słów poezji” (2002) opracowanej przez Krzysztofa Ćwiklińskiego. Publikował utwory poetyckie, m.in. w: „Arteriach”, „Opcjach” (2009, nr 4), „Wyspie”, „Zeszytach Poetyckich”, „Pro Arte on-line”, „Neurokulturze.pl”. Jest laureatem I miejsca w XV Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Zbigniewa Herberta. Debiutancka książka zapowiedziana w ramach Biblioteki Debiutów przy „Zeszytach Poetyckich”.

MIEJSKI

Teren zastygania, strefa obrazowania,
szlabany powleczone szronem,
drzwi obrotowe mielą, mielą,
trwa ucisk szyi przez kołnierzyk,
napina się żyłka bezpieczeństwa
na czole, automat do kawy
ma zaciśnięte szczęki i nie wydaje
drobnych, ale luz, luz,
tu nie ma miejsca na drobnicę,
jesteśmy twardzi, beton to przy nas
breja, asfalty się pod nami czołgają,
kręcimy to miasto jak film, nic
nie wymyka się z klatek.

ZOFIA STANISZEWSKA
godło: „kora”

wyróżnienie drukiem



ZOFIA STANISZEWSKA – autorka wierszy, dramatów, bajek, baśni terapeutycznych, współpracuje z pismem dla dzieci „Świerszczyk”, wydawnictwem Publicat, wydawnictwem Red Horse, redaktorka magazynu zaangażowanego „Fragment”. Jest laureatką kilkudziesięciu konkursów poetyckich, m.in.: V Otwartego Konkursu Poezji im. Herberta (2007), im. Stanisława Nawrockiego (2008), „O Mieczu Króla Władysława Jagiełły w Działdowie” (2008), Międzynarodowego Konkursu Poetyckiego „O Miecz i Złote Klucze Tuchowa” (2009).

OZIME

miedza między ozimymi polami
stara kobieta na kartoflisku porzucona czarna płachta
wydziobuje dziabką ziemniaka
i śmieje się do niego jak głupi do sera

powoli unoszą się mgły
wołam sukę ale ona nie boi się psów
nie boi się niczego
w ostatecznym rozrachunku czas jest śmiercią

klęby pary z rozrzuconego nawozu
jesień z twarzy ściera zmarszczki
rozmazuje krajobrazy

stara kobieta chce mieć dużo dzieci
zakopie mnie jak tego ziemniaka w ziemi
z jednego zgniłego wyrośnie dziesięć bulw

suka podkula ogon
nadlatują kruki
w ostatecznym rozrachunku czas jest życiem

EDYTA WYSOCKA
godło: „PARIA”

wyróżnienie drukiem



EDYTA WYSOCKA – emerytka. Debiutowała w 1986 roku. Publikowała swoje utwory w lokalnej prasie, almanachach pokonkursowych, antologiach zbiorowych. Brała udział w licznych konkursach literackich. Laureatka kilkudziesięciu nagród w ogólnopolskich konkursach poetyckich.

WTEDY

kwiaty rosły na rowach. pasłam kozę. wstydziłam się biedy
ale słońce było ciepłe i wystarczyło bez butów. żułam szczaw
i doganiałam motyle.

sukienka po siostrze miała falbankę w niebieskie kropki.
śliczna że nawet do kościoła. *nie porwij* – ostrzegala mama.
chabry. mleczce. rumianki. i te drobne biało-różowe kleiły się
jak miód. *pogryźć – wyssać – wypluć*. tak słodko.

a wieczorem wcale nie bolał brzuch.

wiedziałam już że czekamy na tatę z wojny. *wróci* – powtarzał
dziadek.

chmury wyglądały jak białe konie od bojków. jak się leżało
na trawie to biegły i biegły aż do samego wieczora.

wtedy zbudziła mnie janka. mama płakała i była zupa z koziego
mleka z zacierkami. taty już nigdy.

JADWIGA GRABARZ
godło: „SMOK WAWELSKI”

wyróżnienie drukiem



JADWIGA GRABARZ – autorka wierszy zamieszczanych m.in. w: „Dzienniku Polskim”, krakowskim miesięczniku „Vis à Vis”, „Rzeczpospolitej Kulturalnej”, „Portrecie”, „L’esperance”. W październiku 2008 roku ukazał się arkusz literacki „Gaszenie do snu” jako Grand Prix III Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego Młodych „O Wachlarz Wilhelminy”.

WIERSZ ZE ŚWIĘTYM

Schniemy na słońcu jak królicze skórki,
płowięją nam włosy, gdy jedziemy wozem,
koń spragniony wody czeka domu.

Lejemy ze studni wiadra, gniady spuszcza łeb
i strąca jaskółki, spadają z powały jak włosie,
tną powietrze, na bezchmurnym niebie sięją deszcz.

Pędem, pędem – brzmią świerszcze wieczorami
po szczelinach w desce. Lejemy ze studni wiadra,
strącamy z kieliszków resztki wódki.

Przydrożne maki ścielą się po rowach
jak głos ptaków, po stodołach – zaduch. W domu
czuwa matka czuła na krzyk dziecka,

na stąpnienie i na oddech – może nawet bardziej
na zamknięcie czy otwarcie powiek, na całą gamę świętych.
Wszystkich świętych godzin, godzinek wyśpiewanych o świtach
na mrozie,

marznących wargach, zbieranych łapczywie powietrzach
niosących echo wołania, jego najświętsze imię.
Za dni, za noce, wróci znowu. Podkuli ogon.

zaskomli jak szczenię.

KAROL GRACZYK
godło: „Różowe kozaczki”



wyróżnienie drukiem

KAROL GRACZYK – poeta, prozaik, recenzent, laureat kilkudziesięciu konkursów poetyckich, m.in.: „Wawrzynu Lubuskiego” za książkę roku 2008. Redaktor miesięcznika „PKPZin” oraz książek poetyckich. Publikował m.in. w „Frazie”, „Obrzeżach”, „Kozimryнку”, „Tyglu Kultury”, „Migotaniach”, „Śladzie i Pinezce”. W dorobku ma trzy książki poetyckie: „Oko i oko”, „Osiemdziesiąt cztery” oraz „Łowy”. Dwukrotny stypendysta Prezydenta Gorzowa Wielkopolskiego. Laureat III nagrody w XVI edycji „Krajobrazów Słowa”. Mieszka w Gorzowie Wielkopolskim.

DZIEJE

Kamyk jest stworzeniem doskonałym
Zbigniew Herbert

Doskonałe jest wszystko, co tylko się dzieje,
a dzieje się wiele. Nawet, kiedy słońce gaśnie
i zapłoną lampy, wydarzenia nie myślą,
żeby zwolnić tempo. Więc dzieją się:

kamienie, psy, sprawy, niedomknięte oczy.
Kałuża w idealnym kształcie przybiera barwy
okolicznych latarni, zgodnie z prawami rozpacz
nakazującymi być odbiciem całego sąsiedztwa.
A w sąsiednim hrabstwie są te same prawa

i tam doskonałość przybiera inne formy,
zwłaszcza kiedy z karabinu idzie krótka salwa
w kierunku i pozycji nauczanej przez lufy,

a idący na śmierć myślą o przyszłości,
choć ją jej nie znają i poznać nie potrafią.
I to jest doskonałe, jestem tego pewien,

bo może się wydarzyć, więc będzie mieć miejsce,
musimy tylko wykluczyć istnienie równoległych światów.
I nawet niepomny, co jest za zakrętem, nie będę

przecież sprawdzał, choćbym miał już nie być.
Byle nie zburzyć porządku, w który uwikłani
możemy o nim mówić lub gasić latarnie.
Nawet obserwować po jej mokrych śladach
drogą kropli sunącej po kamiennych brzegach.

Doskonale jest wszystko, co tylko się dzieje,
a dzieje się wiele. Nawet, kiedy słońce gaśnie
i zapłoną lampy, wydarzenia nie myślą,
żeby zwolnić tempo. Więc dzieją się.

PAWEŁ PODLIPNIAK
godło: „larum grają”



wyróżnienie drukiem

PAWEŁ PODLIPNIAK – dziennikarz, historyk bizantynista, nauczyciel języka angielskiego. Uczestnik portali poetyckich. Autor tomiku poetyckiego „Aubade Triste” (wydawnictwo MBP Radom/ITE Radom 2010). Laureat ponad 20 konkursów poetyckich, m.in.: XV Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Stanisława Grochowiaka w Radomiu – I nagroda; 39. Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Jana Śpiewaka i Anny Kamieńskiej – nagroda II stopnia; II (herbertowskiej) edycji konkursu literackiego „Chichot Chimery”; VII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Cypriana Kamila Norwida, Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „Prawy brzeg” (2009 Warszawa); 18. Turnieju Poetyckiego „Autoportret Jesienny” (2009 Krotoszyn) – I nagroda. Publikacje w: „Arteriach”, „Notatniku Satyrycznym”, „Miesięczniku Prowincjonalnym”, „Kozimrynku”.

ANNOPOL

Dawno temu bogini matka zeszła do garażu,
by przekręcić kluczyk (to wyborny początek każdej
świętej historii). Potem po kłębach dymu wspięła się
do lustra i nie wróciła. Bez najmniejszego zdania
wyjaśnienia zostawionego na szafce, choćby
– *Jestem zbyt zajęta byciem nieboszczykiem. Nie wracam.*

Nie utrzymał jej język, był nazbyt kruchym mostem,
więc nie udźwignął ciężaru pszczoł złapanych w obce ule.
Kiedy stanęła na nim rankiem z dosłowiem w kieszeniach,
oszronioną szklanką w rękę i życiem zawieszonym
on the rocks, wszystko stopiło się, popiło, spadło.

Po naszych bogach zostają tylko
pudelka w kształcie serca
i riff.

SPIS TREŚCI

Karol Maliszewski — <i>Studia braku, wersje nadmiaru</i>	5
Karolina Piwowar — godło „E.T.”	7
Dorota Podstawska — godło „parasolka”	27
Piotr Rowicki — godło „Elvira”	37
Elżbieta Borkowska — godło „świętkara prowincjonalna”	53
Ewelina Kuśka — godło „akordeon”	65
Michał Murowaniecki — godło „Rugby na lodzie”	75
Rafał Gawin — godło „Orzeł biały”	83
Wojciech Roszkowski — godło „ametyst”	91
Mirka Szychowiak — godło „ale meksyk”	99
Janusz Radwański — godło „Słownik chazarski”	107
Andrzej Ratajczak — godło „bigbit”	115
Zofia Staniszevska — godło „kora”	119
Edyta Wysocka — godło „PARIA”	123
Jadwiga Grabarz — godło „SMOK WAWELSKI”	127
Karol Graczyk — godło „Różowe kozaczki”	131
Paweł Podlipniak — godło „larum grają”	135



**MIEJSKIE WODOCIĄGI
i KANALIZACJA**
w Kędzierzynie-Koźlu
Spółka z o.o.
47-200 Kędzierzyn-Koźle ul. Filtrowa 14



**Projekt Funduszu Spójności nr 2003/PL/16/P/PE/046
„Zaopatrzenie w wodę i oczyszczanie ścieków
w Kędzierzynie-Koźlu”**

W latach 2004–2010 w Kędzierzynie-Koźlu realizowany jest Projekt Funduszu Spójności nr 2003/PL/16/P/PE/046 pod nazwą „Zaopatrzenie w wodę i oczyszczanie ścieków w Kędzierzynie-Koźlu” o wartości **44,5 mln euro**, współfinansowany w **70%** ze środków Unii Europejskiej.

W ramach tego projektu zostanie rozbudowany i zmodernizowany system kanalizacji sanitarnej o łącznej długości około 99 km, zmodernizowana zostanie istniejąca oczyszczalnia ścieków, m.in. przez budowę nowych obiektów, tj. nowoczesnej suszarni osadów ściekowych, osadnika wtórnego, zamkniętej komory fermentacyjnej, zostanie zmodernizowany istniejący system odprowadzania ścieków deszczowych o długości około 17 km oraz rozbudowany system rozprowadzania wody o długości około 20 km. Planowany termin zakończenia Projektu Funduszu Spójności to rok 2010.

**Projekt ten, współfinansowany przez Unię Europejską,
przyczynia się do zmniejszania różnic społecznych
i gospodarczych pomiędzy obywatelami Unii**

